



Linda Goodnight



Tajemniczy książkę

PROLOG

Carson Benedict stał na balkonie, z którego roztaczał się widok na jego posiadłość. Dziś obchodził urodziny, ale dzień zaczął się fatalnie.

W dużej mierze przyczyniła się do tego Teddi, jego trochę postrzelona siostra. Sypała niczym z rękawa kolejnymi genialnymi pomysłami, jak ożywić ich podupadające ranczo z pokojami gościnnymi.

- Posłuchaj, Carson, jeśli szybko czegoś nie zrobimy, będziemy bankrutami - mówiła z ożywieniem, a gdy gestykulowała, jej bransoletki pobrzękiwały niczym kastaniety.

- Nie dramatyzuj, nie jest tak źle - powiedział bez przekonania.

- W tym roku mamy znowu mniej rezerwacji. Ta cała romantyczna otoczka związana z kowbojami i Dzikim Zachodem to już przeszłość. Trzeba iść z duchem czasu, potrzebny jest świeży pomysł.

Carson westchnął cicho i wszedł do gabinetu, choć wiedział, że przed siostrą nie ma ucieczki.

- Myślisz, że jeśli zamienimy to miejsce w gniazdko miłości, wyjdziemy na swoje? Nie wiem, czy sobie poradzę.

- Spokojnie, przecież kiedyś prowadziłeś centrum holistycznej medytacji.

- Teddi dźgała go palcem niczym cała chmara rozwścieczonych komarów. - Miłość to lekarstwo na wszystkie problemy. Miłość i aromaterapia.

Carson z trudem powstrzymał się od śmiechu. Jego młodsza siostra, wielka propagatorka New Age, naprawdę wierzyła w pokój, miłość i wszelkie zioła, z naciskiem na miłość.

- Kochanie, ja prowadzę ranczo, a nie burdel. - Nawet nieliczni goście przeszkadzali w codziennej robocie, a co dopiero zakochane pary.

- No co ty! - Teddi potrząsnęła głową, a jej zielone kolczyki w kształcie piramidek zalśniły w słońcu. - Pamiętasz „Statek miłości”? My możemy

urządzić Ranczo Miłości, miejsce, w którym samotne serca znajdą swą bratnią duszę.

- Nie.

- Carson, wszyscy zajmują się swataniem. Taką działalność prowadzi się przez internet, w kościołach, na wyższych uczelniach. Biura matrymonialne to niezły interes.

- Po moim trupie.

Jak uważasz. - Teddi z wystudiowaną nonszalancją wzruszyła ramionami.

- Udało ci się postawić na swoim. Jeśli zbankrutujemy, posiadłość kupi Kuzyn Arnold i postawi tu następny supermarket. - Skrzyżowała ramiona i oparła się o ścianę.

Carson dobrze wiedział, co oznacza ta poza. Wiedział również, że siostra nie da mu spokoju. Będzie tak długo gadać o uzdrawiającej sile miłości, że doprowadzi go do szaleństwa.

Spojrzał ze wstrętem na papiery zaścielające biurko.

Jeśli nie uda mu się rozreklamować rancza i ściągnąć więcej klientów, będzie musiał zwinąć interes. Uroki Dzikiego Zachodu okazały się rzeczywiście mało atrakcyjne.

- Wymyśl coś lepszego niż Ranczo Miłości.

- Jesteś niemożliwy. Przestałeś wierzyć w istnienie prawdziwego uczucia, odkąd Suzy rzuciła cię dla Brada Holdera.

Na wzmiankę o byłej żonie Carson niemal zazgrzytał zębami. Suzy przysięgła mu miłość do grobowej deski i była wierna tej przysiędze, dopóki nie spotkała niezwykle bogatego Brada Holdera.

- Koniec gadania. - Miał jeszcze trochę papierkowej roboty, później musiał zająć się cielakami, a na koniec przetrwać przyjęcie urodzinowe.

- Nie. - Teddy ujęła się pod boki. Była niemal równie uparta jak Carson. - To jest również mój dom i też mam tu coś do powiedzenia. Jeśli chcemy zdobyć

więcej gości, pomyślmy o marketingu. Czy jest coś bardziej ekscytującego niż romans?

- Połykanie żyletek?

- A więc o to chodzi! - Groźnie zmrużyła oczy. Wiedział, co za chwilę nastąpi, a jednak spytał z niewinną miną.

- O czym ty właściwie mówisz?

- O tobie, braciszku. Ty po prostu boisz się miłości, prawda?

- Nieprawda. Tylko nie podoba mi się twój pomysł. Owszem, już raz się sparzyłem, ale nie boję się uczuć.

- Udowodnij to.

- Jak?

- Spróbuj wyswatać kogoś z naszych gości.

- Nie ma mowy.

- A widzisz? - zatriumfowała. - Wiedziałam, że się nie zgodzisz. Zresztą i tak nie dałbyś rady.

Dobrze wiedziała, jak go podejść. Nic nie zmuszało go do działania lepiej niż stwierdzenie, że sobie nie poradzi.

- Założysz się?

- Dobra. Wygrasz zakład, jeśli uda ci się skojarzyć dwoje samotnych gości.

- I co, jeśli wygram?

- Ani słowem nigdy nie wspomnę o Ranczu Miłości. Jeśli przegrasz, zrobimy po mojemu.

- Zgoda.

Teddi rzuciła mu się w ramiona.

- Cudownie. Chętnie ci pomogę.

- Chwileczkę. A to niby dlaczego?

- Chcę, żebyś uwierzył w siłę miłości. Wtedy sam zrozumiesz, że powinniśmy zmienić profil naszego rancza.

- Nie łudź się. Obiecałaś nie wracać więcej do tego tematu.

- Zgoda, ale najpierw spróbuj skojarzyć jakąś parę. - Teddi zaczęła tańczyć. - Świetnie się składa, bo mamy tu już jednego samotnego przystojniaka.

- Jeśli mówisz o Lucu Gardnerze, to zapomnij.

- Przecież jest samotny, prawda?

Owszem, był samotny, a w dodatku niezwykle atrakcyjny, jednak Carson obiecał swojemu wysoko urodzonemu przyjacielowi bezpieczną kryjówkę. Całe szczęście, że Teddi nie miała pojęcia, kim naprawdę jest Luc Gardner.

- Zostaw Luca w spokoju - powiedział ostrzegawczo.

- Przykro mi, braciszku, ale to musi być on. Pamiętasz nasz zakład?

Z zewnątrz dobiegł odgłos silnika. Teddi podbiegła do okna i odsunęła firankę. Po chwili odwróciła się rozpromieniona i klasnęła w dłonie.

- Właśnie przyjechała młoda kobieta. Ale mamy szczęście. - Pocałowała brata w policzek i wybiegła jak burza z pokoju. - Pójdę ją przywitać! - zawołała przez ramię, ale najpierw zatrzymała się gwałtownie. - Carson, pamiętaj o naszym zakładzie. Jeśli będziesz oszukiwał, sprowadzisz na nasze ranczo bardzo złą karmę. Chyba nawet ty wiesz, jak bardzo ważna jest kosmiczna harmonia.

Według Carsona „kosmiczna harmonia” właśnie mocno się rozregulowała.

Trudno, skoro przyjął zakład, wywiąże się z obietnicy, jak zawsze. Był gotów zrobić bardzo wiele dla swego ukochanego rancza.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na wygnaniu.

Prychając z niesmakiem, Carly Carpenter otworzyła bagażnik i wyjęła torbę ze sprzętem. Nie ruszała się nigdzie bez magnetofonu i laptopa. Po namyśle wrzuciła torbę z powrotem do bagażnika. Na litość boską, niby z kim miałyby tu przeprowadzić wywiad! Znalazła się przecież na zapadłej prowincji w Oklahomie.

Spojrzała na ranczo leżące „pośrodku niczego” i po raz kolejny zadała sobie pytanie, dlaczego jej siostra Meg wybrała właśnie to miejsce. Owszem, potrzebowała dobrej kryjówki, zanim opadnie dym, ale czy to naprawdę musiało być takie bezludzie? To zapewne sprawka Erica, męża Meg, który był właścicielem prywatnej firmy detektywistycznej.

- Zbyt duża pokuta za jedną małą pomyłkę - szepnęła. Było wtedy bardzo ciemno. Po długich godzinach czatowania udało się jej pochwycić moment, gdy Sam Kensel wstał z wózka inwalidzkiego. Procesował się z pracodawcą o grube miliony, utrzymując, że wyniku wypadku doznał trwałego uszczerbku na zdrowiu. Kiedy wstał z wózka, na jego twarzy nie pojawił się nawet grymas bólu.

Ściskając w rękę aparat, przedarła się przez azalie wprost do otwartego okna.

Owszem, zniweczyła w ten sposób siedem miesięcy śledztwa i ciężkiej pracy. Prawda, naraziła na szwank nieposzlakowaną dotąd reputację szwagra. Jednak czy to jej wina, że ktoś posadził wprost pod oknem te przeklęte azalie?

Przez te głupie kwiatki załamała się jej kariera detektywa, a marzenie o zostaniu dziennikarką śledczą musiała chwilowo odłożyć do lamusa.

- Cholera - mruknęła, kiedy przytrzasnęła klapą od bagażnika rękaw koszuli. Gdy szarpnęła, rozległ się trzask rozrywanego materiału. Spojrzała

smętnie na pożyczoną od ojca koszulę. Lubiła wygodne, luźne ubrania, bo czuła się w nich trochę mniejsza, a przez to bardziej kobieca.

Nie przejmowała się modą. Była detektywem i przyszłym dziennikarzem śledczym. Nie miała czasu na manikiur ani latanie po sklepach.

Co rano związywała włosy gumką, ale wieczorem to skromne i praktyczne uczesanie zmieniało się we wronie gniazdo.

Uwielbiała swoją pracę i była w niej dobra, choć szwagier i połowa Dallas nie podzielali tej opinii. Nie szkodzi, ona im jeszcze pokaże. Fajnie byłoby rozwiązać jakąś skomplikowaną sprawę, ale co może się wydarzyć na bezkresnych pastwiskach...

- Jedź na wakacje, odpocznij, naładuj baterie - poradziła Meg i wręczyła jej broszury reklamujące ranczo Benedictów. - To prawdziwe ranczo z kowbojami, krowami, końmi i tak dalej. Spodoba ci się tam.

Chciała coś powiedzieć, ale Meg nie pozwoliła jej dojść do słowa.

- Próbuję uratować ci tyłek, siostrzyczko. Po tej ostatniej sprawie wszyscy muszą trochę ochłonąć. Wyjedź, a ja zrobię wszystko, żeby Eric przestał się na ciebie wściekać.

A zatem tkwiła tu niczym wygnaniec, choć pobyt na ranczu wydawał się jej czystą stratą czasu. Obiecała być tu tak długo, dopóki Meg po nią nie zadzwoni. Przeróżająca myśl.

Spojrzała na ranczo, które wyglądało jak żywcem wyjęte z westernów z Johnem Wayne'em. Zauważyła ruch firanki na piętrze, a potem czyjaś twarz w oknie.

Wzruszyła ramionami, wzięła bagaż i weszła do rozległego holu. Na wyłożonych tapetą ścianach wisiała fotografia przedstawiająca parę. Mężczyzna miał ulizane włosy i kwaśną minę, kobieta wyglądała równie ponuro. Kiepski pomysł, by tak nieprzyjazne fizjonomie witały gości.

Nie spuszczać oczu z fotografii, podeszła do recepcji, przy której stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Na widok jego klasycznych rysów nieco zaschło jej w gardle.

- Witam. - Uśmiechnął się do niej leniwie, jakby był świadom wrażenia, jakie na niej wywarł.

Nie wiedział biedak, że Carly nie padała do stóp żadnym facetom.

- Przepraszam, ale to zdjęcie nieco wytrąciło mnie z równowagi. - Skrzywiła się komicznie.

Gdy poprawił kapelusz, Carly znów zaschło w gardle. O rany, zdołała tylko pomyśleć.

Ten wspaniały kowboj miał również wspaniałe włosy.

Kręcone, nieco zbyt długie, w kolorze starego złota. Niemal prosiły się o kobiecą dłoń.

- O ile mi wiadomo, to państwo Benedictowie, którzy zbudowali ten dom. Zdjęcie zostało zrobione w dniu ślubu.

- Hm, nie wyglądają na zbyt szczęśliwych.

- Podobno to był bardzo udany związek.

- Być może, jednak patrząc na tę parę, zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądają ich potomkowie.

- Zapewniam, że są bardzo przyjacielscy.

- Dzięki Bogu. Takie ponure miny mogłyby mi odebrać apetyt.

- A zatem jest pani nowym gościem, czy tak?

Coś w tonie jego głosu zwróciło uwagę Carly. A może był to ledwie dostrzegalny ślad obcego akcentu? Zerknęła na niego jeszcze raz. Owszem, facet wyglądał jak kowboj, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

- Tak - odparła, choć czuła się bardziej jak zesłaniec.

- Czy mi się tylko wydaje, czy nie jest pani zbyt z tego zadowolona?

- Och, to długa historia. - Oczywiście nie zamierzała mu się zwierzać.

Sięgnęła po torbę, ale kowboj okazał się szybszy.

- Proszę pozwolić, bym zaniósł pani bagaż.

Carly patrzyła na jego pełne gracji ruchy i coraz intensywniej zastanawiała się, kim naprawdę jest ten facet. Od kiedy to kowboje używają takich wyszukanych zwrotów? Od kiedy to chodzą w sposób charakterystyczny dla żołnierzy i osób bardzo pewnych siebie?

Nieważne, że nosił charakterystyczny kapelusz, i tak dałaby sobie głowę uciąć, że ma do czynienia z arystokratą. Pachniał drogą wodą kolońską, emanował niewymuszonym wdziękiem i poczuciem władzy.

Zapewne był przyzwyczajony, że kobiety ścielą mu się do stóp i pewnie od niej oczekiwał tego samego.

Właściwie czemu nie? Przecież mogła sobie pozwolić na mały flirt. Nie było jednak mowy o żadnym poważnym związku.

Podwinęła rękawy podartej koszuli i właśnie miała ruszyć za bóstwem w kowbojskim kapeluszu, gdy z zaplecza wyłoniła się chuda kobieta w ogromnych okularach. Według plakietki nazywała się Macy.

- Dzień dobry, nazywam się Carly Carpenter. - Uśmiechnęła się do recepcjonistki.

- Czekaliśmy na panią. - Macy podsunęła jej formularz. - Proszę to podpisać. Pokoje gościnne są na pierwszym piętrze. Umieściliśmy panią w pokoju numer trzy. - Podała jej klucze. - Pan Gardner wskaże pani drogę. Widzę, że już się poznaliście.

Rzeczony pan Gardner uśmiechnął się promiennie, a Carly oczywiście udała, że nie wywarło to na niej żadnego wrażenia.

- A właśnie, przepraszam bardzo, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Luc Gardner. - Wyciągnął do niej wypielegnowaną dłoń.

Ten człowiek na pewno nie para się ciężką pracą, pomyślała Carly.

- A ja nazywam się Carly Carpenter. Sądząc po akcencie, nie jesteś Amerykaninem.

- Skoro tak twierdzisz - odparł nieco sztywno. Zaintrygowana Carly miała ochotę zadać mu kolejne

pytanie, ale wtedy właśnie ze schodów zeszła ciemnowłosa kobieta. W jej uszach połyskiwały monstrualnie długie kolczyki w kształcie piramidek.

- Cześć, Luc. Miło, że nam pomagasz. Bez ciebie to ranczo dawno zeszłoby na psy. Hm, chyba lubisz bawić się w kowboja. - Odwróciła się do Carly. - Nazywam się Teddi Benedict, a pani musi być Carly Carpenter. - Zanim Carly miała szansę odpowiedzieć, Teddi objęła chudziutką recepcjonistkę i spytała: - Macy, czy powiedziałaś naszym gościom, że dziś wieczór urządzamy barbecue na cześć Carsona? Jutro rano mogą się państwo udać na przejażdżkę.

Carly spojrzała na dziewczynę w cygańskiej spódnicy i lekko uniosła brwi. Aha, to jedna z tych Benedictów.

- Dzisiaj są urodziny mojego brata. - Teddi lekko się skrzywiła. - Przyjęcie zaczyna się o siódmej. Serdecznie panią zapraszam. To wspaniała okazja, by poznać nasz personel i pozostałych gości.

- No cóż, dobrze. - Carly czuła się coraz bardziej niezręcznie. Musiała być miła, a najchętniej poszłaby już do swojego pokoju i zanurzyła się w gorącej wodzie. Chciała w spokoju napawać się swoją depresją.

- Proszę. - Teddi wcisnęła jej w rękę kartkę, która wyglądała jak harmonogram. - Tutaj znajdzie pani wszystkie informacje. Luc, kochanie, czy mógłbyś zanieść bagaże Carly do jej pokoju?

Carly nie przywykła do takich uprzejmości. Pierwszym i ostatnim mężczyzną, który coś za nią nosił, a konkretnie tornister, był Harold Watersnout. Chodzili wtedy do czwartej klasy, ale nie była to żadna szczenięca miłość. Harold rewanzował się za to, że Carly nauczyła go gwizdać.

- Z przyjemnością - odparł Luc.

To była tylko grzecznościowa fraza, lecz i tak zarobił u Carly punkt za dobre maniery. Bóstwa na ogół nie trudnią się tak przyziemnymi sprawami, jak dźwiganie za kims toreb.

Odezwała się w niej żyłka detektywa. Rzekomy kowboj coraz bardziej ją intrygował. Natychmiast złożyła to na karb zawodowego instynktu.

Była detektywem, a marzyła o karierze dziennikarki śledczej. Ma swoje sposoby, by poznać prawdę.

Wspinała się za nim po stromych schodach, niemal nie odrywając od niego wzroku. Był bajkowo przystojny, ale Carly już dawno nie wierzyła w bajki.

- Pokój numer trzy, prawda?

- Tak - odparła.

Wyciągnął rękę. Carly gapiała się na niego nieprzytomnie i dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że chce otworzyć jej drzwi.

- Poradzę sobie - mruknęła, ale podała mu klucz.

Otworzył drzwi i przepuścił Carly przodem. Postawił torby na podłodze, a laptop na stoliku przy łóżku.

- Ktoś zostawił dla ciebie gazetę. - Uniósł dziennik z takim wstrętem, jakby to była zdechła mysz.

Skrzywiła się. Nie chciała po raz kolejny czytać o swoim aresztowaniu. Oskarżono ją o włamanie, a przecież wpadła do pokoju Sama Kensela zupełnie przypadkiem. Potknęła się w tych cholernych azaliach, a okno było otwarte. Jakie włamanie? O mało nie straciła życia.

- Przyjechałam tutaj, żeby odpocząć od gazet.

- Tak samo jak ja. - Luc wrzucił „Dallas Daily Mirror” do kosza.

- Nie lubisz mediów? - Podeszła do okrągłego stolika, powąchała kwiaty i spojrzała na owoce.

- Niespecjalnie. Grzebanie w cudzym życiu to dość podłe zajęcie.

- Tak sądzisz? - Niedobrze. Skoro nie znosił wścibskich reporterów, to zapewne wręcz nienawidził detektywów. Musiała mieć się przed nim na baczności. - Długo tu jesteś?

- Dwa dni.

- A ile jeszcze zostaniesz?
- Jak długo będzie trzeba.
- Na co?
- Żeby cię poznać.

Carly zaśmiała się. To prawda, mężczyźni ją lubili. Ufali jej, często pytali o radę, traktowali jak kumpla lub siostrę. Kilku nawet zaprosiło ją na randkę, ale żaden nie sprawił jej komplementów.

A już z pewnością nie tacy przystojniacy jak to bóstwo udające kowboja.

ROZDZIAŁ DRUGI

Luc wszedł do pokoju i rzucił kapelusz na łóżko. Rozmyślał o Carly Carpenter.

Zaintrygowała go również dlatego, że bardzo różniła się od kobiet, z którymi spotykał się do tej pory. Nie flirtowała z nim, nie próbowała wywrzeć na nim wrażenia.

Najpewniej, zresztą ku jego uldze, nie miała pojęcia, że pochodził z królewskiej rodziny. Prawdziwą tożsamość Luca znał tylko Carson Benedict. Zostali przyjaciółmi jeszcze podczas studiów.

Luc chyba po raz pierwszy w życiu czuł się taki swobodny i zrelaksowany. Owszem, przez lata żył w cieniu starszego brata, Philippe'a, jednak od jego śmierci stał się głównym celem wszystkich europejskich paparazzi. Amerykańskie media interesowały się nim, gdy był studentem jednego z tutejszych college'ów, teraz jednak nikt jeszcze nie wywęszył miejsca jego kryjówki.

Była to zasługa Carsona, który wspaniałomyślnie zgodził się udzielić mu schronienia, a także strzec jego prywatności. Luc zamierzał zostać tu całe lato,

ponieważ miał wiele spraw do przemyślenia i musiał podjąć kilka ważnych decyzji.

Podszedł do komputera umieszczonego na małym stoliku przy oknie. Pokoje gościnne na ranchu nie były luksusowe, lecz przytulne i wygodne.

Sosnowe ściany, duże łóżko przykryte kolorową kapą, mała łazienka. Był pełen podziwu dla Carsona, który nieźle sobie radził jako zarządca rancha. Zaprzyjaźnili się w Princeton. Obaj byli spokojni i nie gustowali w życiu towarzyskim.

Luc włączył laptop i sprawdził pocztę. Obiecał ojcu, królowi Alexandrowi, władcy Montavii, że będą w częstym kontakcie. Czekał na wiadomość, kiedy ma wrócić do kraju. Nie śpieszył się z powrotem do domu, choć bardzo kochał ojczyznę.

Dobrze, że ojciec pozwolił mu studiować za granicą. To była miła chwila oddechu od krępujących konwenansów i dworskiego życia.

Zrobił dyplom z ekonomii, bo sądził, że ta gałąź wiedzy pomoże mu stać się lepszym władcą. Prasa wyśmiewała jego ambicje naukowe, twierdząc, że to tylko poza znudzonego książątka.

Z uporem nazywali go arystokratycznym playboyem. Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, choć zawsze lubił używać życia. Brał udział w wyścigach samochodowych i konnych, był zapalonym narciarzem.

Pewnego dnia to wszystko skończyło się jak nożem uciął. Jego dwudziestosiedmioletni brat Philippe zginął tragicznie w Alpach, gdy razem zjeżdżali na nartach.

Luc do tej pory pamiętał ten straszny dzień. Czerwona krew na białym śniegu, martwa, przerażająca cisza i nieznośne poczucie winy.

Teraz to on, drugi syn, był następcą tronu. Jego życie diametralnie się zmieniło.

Owszem, przygotowywano go do tej roli, ale to Philippe miał zostać królem. Luc doskonale o tym wiedział, dlatego za przyzwoleniem rodziców często uchylał się od ciężących na nim obowiązków.

Philippe był poważny, inteligentny i niezwykle odpowiedzialny. Traktował serio swe obowiązki, chciał być dobrym władcą.

Luc znużonym gestem przetarł oczy. Brat był stworzony do rządzenia, a jego zawsze postrzegano jako lekkoducha i playboya.

Wkrótce po śmierci brata Luc na prośbę ojca wstąpił do armii. Nauczył się dyscypliny i odpowiedzialności, ale czy to uczyni go lepszym władcą? Nie miał pojęcia, a dopóki nie uzyska takiej pewności, nie przyjmie korony.

W poczcie była wiadomość od jego siostry Anastazji. Luc zmarszczył brwi. Jeśli siostra odkryła, gdzie przebywał, wkrótce dowie się o tym cała Europa. Anastazja była miłą dziewczyną, ale nigdy nie potrafiła trzymać języka za zębami.

Zaczął czytać wiadomość:

Luc!

Gdzie się podziewasz? Książę Broussard szaleje z niepokoju.

Na chwilę znieruchomiał. Królewski kanclerz, książę Broussard, był jego osobistym doradcą. To przez niego Luc uciekł do Ameryki.

Kanclerz bardzo troszczył się o Luca, może nawet zbyt bardzo, bo często porównywano go do nadopiekuńczej kwoki. Książę Broussard chciał mieć wpływ na każdą decyzję następcy tronu, często też okazywał mu swoją dezaprobatę. Król Alexander zauważył, co się dzieje, dlatego wyraził zgodę, by Luc spędził trochę czasu samotnie, z dala od pałacu, wścibskiej prasy i kanclerza.

Luc otrząsnął się ze wspomnień i czytał dalej:

Ten stary cwany Peter nie chce mi nic powiedzieć, a ojciec ogania się ode mnie jak od natrętnej muchy. Jeśli się do mnie natychmiast nie odezwiesz, zaraz zwariuję.

Luc uśmiechnął się lekko. Siostra była w gorącej wodzie kąpana i za dużo paplała.

Następna wiadomość była od Petera. Stary przyjaciel jak zwykle pisał ciepło i z humorem i nagle Luc zateśknął za domem. Rozbawiła do zwłaszcza uwaga o lady Priscilli.

Lady Priscilla, córka księcia Broussarda, była częstym tematem ich rozmów. Król Alexander wymarzył ją sobie na synową i od czasu do czasu dawał dyskretnie do zrozumienia, że już czas, by syn pomyślał o przedłużeniu dynastii.

Luc przyglądał niesforne włosy i westchnął. Nie pragnął jeszcze stabilizacji, nie wyobrażał sobie życia w rodzinnym gniazdku.

Przypomniała mu się poznana dzisiaj Carly Carpenter. Jakże różniła się od lady Priscilli. Był pewien, że pod zbyt luźnymi ubraniami kryła się cudowna kobieta.

Zaintrygowała go nie tylko wyglądem, lecz również sposobem zachowania. W dodatku miała niezwykle zmysłowe usta, wprost stworzone do pocałunków.

Nagle stwierdził że już nie może się doczekać urodzinowego przyjęcia Carsona.

Carly chętnie odpoczęłaby po podróży, ale właściwie wcale nie była zmęczona. Próbowwała zwalczyć narastające rozgoryczenie. Żałosne, bo do tej pory szczyła się tym, że potrafi w pełni kontrolować swoje emocje. Nie płakała nawet po zerwaniu z Lesterem, które miało miejsce w zeszłym miesiącu.

Lester Molester, jak go nazywała, nie potrafił utrzymać rąk przy sobie. Nie był wart ani jednej łzy. Co innego jej kariera.

Praca była jej całym życiem, a teraz zabrano jej nawet to. Kto wie, co z nią dalej będzie. Być może w wieku dwudziestu ośmiu lat stanie się wyrzutkiem społeczeństwa. Zamieszka w pudle kartonowym pod Burger Kingiem i będzie przyjmować zlecenia w zamian za nadgryzione kanapki i papierosowe pety.

Nie, jej kochana siostra na to nie pozwoli. Popracuje trochę nad mężem, starym dobrym Erikiem, użyje kilku kobiecych sztuczek i wkrótce Carly będzie znów mogła wrócić do pracy.

Może tak, a może nie. A jeśli tym razem Meg nie uda się ułagodzić męża?

Carly wyłączyła telewizor i spojrzała na zegarek. Pora wyruszyć na wieczorne przyjęcie. Może chociaż na chwilę uda się jej zapomnieć o zmartwieniach. Wzięła aparat i wyszła na korytarz.

Gdy mijała pokój, w którym mieszkało bóstwo w kowbojskim kapeluszu, zatrzymała się. Ciekawe, czy Luc Gardner będzie na barbecue.

Zanim zdążyła pomyśleć, uniosła rękę, by zapukać. Gdy usłyszała dochodzące z pokoju stukanie, zawahała się.

Przycisnęła ucho do drzwi. Cóż, tak właśnie postąpiłby każdy rasowy detektyw. Nie interesował jej sam Luc, jednak otaczała go aura tajemnicy i warto by dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Ciekawe, co on tam robi. Pisze na maszynie? Siedzi przy komputerze? Był pracoholikiem, który nie wiedział, co zrobić z wolnym czasem?

Nagle stukanie ustało i rozległ się dźwięk, jakby ktoś przesuwał krzesło. Carly pobiegła do schodów. Na werandzie od razu poczuła smakowity zapach i zaburczało jej w żołądku. Ruszyła wzdłuż muru i po chwila dotarła na tylny dziedziniec.

W oddali zobaczyła basen, boisko do siatkówki i maneż do jazdy konnej. Pośrodku stało tak wielu mężczyzn w kowbojskich kapeluszach, że poczuła się jak na planie westernu. Kobiet było mniej więcej dziesięć razy mniej.

Gdyby była głupiutką laleczką, uznałaby taką sytuację za wielce korzystną. Dawno jednak już pogodziła się z faktem, że nie podoba się mężczyznom. Cóż, niektóre kobiety mają urodę, a inne mózg.

- Carly. - Tanecznym krokiem podeszła do niej Teddi Benedict. - Chodź, musisz wszystkich poznać. Kolacja jest już prawie gotowa.

Przez kilka następnych minut Carly witała się z kolejnymi kowbojami, próbując zapamiętać imiona, ale myślała tylko o tym, który przy tych wszystkich Slimach, Dirkach i Heckach wydawał się postacią z innej bajki.

Rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie zauważyła Luca.

Teddi poprowadziła ją pod olbrzymie drzewo, gdzie z dala od tłumu gości stał mężczyzna z małym chłopcem. Siedzące przy nich stworzenie zasługiwało na miano najbrzydszego kundla na świecie. Pies spojrzał przelotnie na

Carly, ale po chwili ponownie wlepił pełen uwielbienia wzrok w dziecko.

- A to mój starszy brat Carson, który dziś obchodzi urodziny - powiedziała Teddi.

- Wszystkiego najlepszego, panie Benedict. Dziękuję, że zaprosił mnie pan na przyjęcie.

Wysoki ciemnowłosy kowboj o niebieskich oczach spojrzał na nią melancholijnie.

- Witamy na naszym ranczu - powiedział.

Carly pomyślała, że jak na jubilata jest w dość kiepskim nastroju.

- A to jest Gavin. - Teddi wskazała na chłopca, który wyglądał jak mała kopia Carsona Benedicta. Miał nawet takie same buty i kapelusz.

- Witamy na naszym ranczu - powiedział chłopiec grzecznie i wyciągnął rączkę na powitanie.

- Dziękuję, sir. Jak sądzę, jest pan właścicielem tego rancza - odparła Carly, ujęta nieodparty wdziękiem Gavina.

- To ranczo kiedyś będzie należało do Gavina. Zrobię wszystko, by tak się stało - nieco zgryźliwie wtrącił się prawdziwy właściciel tej ziemi.

Dość dziwna uwaga, zważywszy na to, że w ogóle się nie znamy, pomyślała Carly. Carson Benedict nie wydawał się zbyt przyjaźnie usposobiony. W dodatku nie wyglądał na zachwyconego przyjęciem. Widać nie był w nastroju do celebrowania urodzin.

- Nie zwracaj uwagi na mojego brata - powiedziała Teddi, jakby czytała w jej myślach, gdy ruszyły dalej. - On tylko udaje, że ma kiepski nastrój.

- Dobrze mu idzie. Może powinien pomyśleć o karierze aktorskiej.

- Ma tyle spraw na głowie.

- Ile macie pokoi gościnnych? - spytała zaciekawiona Carly. Zielone pastwiska ciągnęły się aż po horyzont.

- Trzydzieści - wyjaśniła Teddi. Ubrana w cygańską koszulę, wyglądała jak barwny ptak. - Oprócz głównej rezydencji są jeszcze dwa mniejsze budynki, jeden dla gości, drugi dla kowboi.

- Zatem to prawdziwe ranczo, tak jak napisaliście w ulotce reklamowej.

- Oczywiście. Jeśli masz ochotę, możesz popracować z naszymi kowbojami. Zresztą organizujemy tu wiele innych atrakcji. To wspaniałe miejsce dla samotnej kobiety. Jesteś singielką, prawda?

- Hm... tak. - Permanentną, dodała w myślach.

Ta niezbyt radosna informacja szalenie spodobała się Teddi, która aż z radości klasnęła.

- Och, cudownie! Tutaj jest mnóstwo mężczyzn. - Wskazała na grupkę kowboi pracowicie przeżuujących zeberka.

- Na pewno kogoś poznasz, może nawet znajdziesz prawdziwą miłość. Nasze ranczo to magiczne miejsce. Carly uniosła dłoń, by powstrzymać ten potok słów.

- Dziękuję, nie jestem zainteresowana. Romans to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba. - Nagle zobaczyła Luca Gardnera i natychmiast zapomniała, co jeszcze chciała powiedzieć.

- Luc! - Uradowana Teddi aż podskoczyła. Miała na przegubach tyle bransoletek, że odgłos, który się przy tym rozległ, przypominał brzęk więziennych łańcuchów. - Cieszę się, że przyszedłeś.

- Zwabił mnie zapach barbecue.

- Właśnie na to liczyliśmy. Poznałeś już Carly, prawda? Luc skinął głową.

- Miło znów cię widzieć, Carly.

- Tak - mruknęła, nieco odurzona, i to wcale nie ostrymi przyprawami.

- Luc, kochanie, czy zechcesz towarzyszyć Carly podczas dzisiejszej kolacji? Pomożesz jej się tutaj zaaklimatyzować - zaszczębiotała Teddi.

- Nie trzeba, poradzę sobie. - Carly wreszcie odzyskała głos. Knowania Teddi bardzo ją zakłopotaly.

- Z przyjemnością - powiedział Luc, nie bacząc na jej protesty.

- Och, wiedziałem, że się zgodzisz. - Bransoletki Teddi znów zadźwięczały. - Jesteś taki kochany. A teraz was przeproszę, bo muszę się z kimś przywitać.

Odeszła tanecznym krokiem, zostawiając Carly i Luca samych. Żalodne, pomyślała. Jej rodzina też nieustannie ją swatała.

- Luc, naprawdę sama sobie poradzę.

- Chętnie ci potowarzyszę, bo też jestem tu bez pary. No i z przyjemnością zjem z tobą kolację. - Powiedział to tak, jakby wybierali się do Ritza. - O ile oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

Miałaby mieć coś przeciwko temu? Odczuwała niemal ekstazę. Nie dlatego, że był niezwykle przystojny, a jego akcent i sposób wysławiania się przyprawiały ją o dreszcze.

Musiała się dowiedzieć, co taki mężczyzna jak Luc robi sam na kompletnym odludziu. Chodziło o zaspokojenie zawodowej ciekawości, jak na rasowego detektywa przystało.

- Jeśli pozwolisz, porozmawiam teraz z gościem honorowym tego przyjęcia. Zechcesz mi towarzyszyć?

Nie miała ochoty na ponowne spotkanie z burkliwym i zgryźliwym kowbojem.

- Nie, raczej nie.

- Już się poznaliście? - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak. Szczerze mówiąc, nie wydawał mi się zbyt przyjaźnie usposobiony.

- Carson? - Luc spojrział na przyjaciela, który wraz z synkiem siedział teraz przy jednym ze stołów. Szkaradny kundel warował oczywiście przy nich. - On jest w porządku, może tylko trochę zbyt skryty.

Carly zaskoczyła ta wypowiedź. Ciekawe, że Luc tak szybko, bo zaledwie po dwóch dniach pobytu na ranchu, wyrobił sobie zdanie o jego właścicielu.

- W takim razie idź się z nim przywitać, a ja poszukam mrożonej herbaty. Później spotkamy się pod tamtym drzewem.

- Wspaniały pomysł - oznajmił Luc i dostojnie skłonił głowę niczym król wyrażający uznanie dla poddanego.

Gdy odszedł, Carly ruszyła w stronę stołu, przy którym recepcjonistka Macy nalewała gościom mrożoną herbatę. Nieco dalej siedziała na kocu dziewczynka o buzi aniołka, zjadająca banana.

- A co to za cherubinek? - spytała Carly. Myszowata Macy, jak zdążyła ją już ochrzcić Carly, rozpromieniła się w uśmiechu.

- To moja córeczka Hannah.

Niebieskokooka dziewczynka o kręconych blond włosach pomachała do Carly tłustą rączką.

- Cześć, skarbie - przywitała ją Carly, a potem zwróciła się do Macy. - Jest cudowna.

- Dziękuję. Ja też tak uważam. - Macy podała Carly duży plastikowy kubek z herbatą.

Jako mała dziewczynka Carly marzyła, że kiedyś zostanie matką gromadki dzieci. Jednak gdy dorosła, zrozumiała, że co prawda umie rozwiązywać problemy innych ludzi, ale nie radzi sobie z własnymi.

Usadowiła się pod olbrzymim drzewem. Popijając nieco zbyt słodką herbatę, obserwowała Luca i właściciela rancza, który, o dziwo, zachowywał się teraz zupełnie inaczej. Wyglądał na zrelaksowanego i zadowolonego. Poklepywał Luca po ramieniu, jakby byli starymi przyjaciółmi. Carly zamierzała odkryć, w jaki sposób i gdzie ranczer z Oklahomy zaprzyjaźnił się z europejskim arystokratą.

- Czy ty i pan Benedict jesteście starymi przyjaciółmi? - spytała nieco później, gdy wraz z Lukiem zasiedli do stołu.

Uważała się za mistrzynię w zadawaniu na pozór niewinnych pytań. Zresztą wolała przesłuchiwać ludzi, niż prowadzić z nimi towarzyskie rozmowy.

Luc zawahał się.

- Przez jakiś czas studiowaliśmy z Carsonem na tym samym uniwersytecie - odparł wreszcie. - Skontaktowałem się z nim, kiedy postanowiłem spędzić wakacje w Ameryce.

To wiele wyjaśnia, pomyślała.

Nieco rozczarowana banalnym wyjaśnieniem nurtującej ją sprawy, zaczęła jeść.

- To mięso jest wspaniałe. - Rzeczywiście wołowina rozpływała się w ustach. - Ktoś zasłużył na miano mistrza barbecue.

- To specjalność Carsona. Kiedy zaprosił mnie tu pierwszy raz, zdradził mi stary rodzinny przepis.

- Nie powiedziałeś, skąd pochodzisz.

- Rzeczywiście nie powiedziałeś - odparł, próbując złagodzić uśmiechem nieco niegrzeczną odpowiedź.

- Masz uroczy akcent. Jesteś Francuzem?

- A ty masz dobry słuch. Mówisz po francusku?

- Tak. Uczyłam się języka Moliere'a w liceum - powiedziała po francusku.

- Masz niezły akcent. Czy byłaś we Francji?

- Nie. Jestem rodowitą Teksanką - powiedziała na wszelki wypadek, gdyby zamierzał kpić z jej charakterystycznej wymowy.

- Jestem pod wrażeniem. Czy mówisz po hiszpańsku? - spytał w tym języku.

- To nie fair, że tak bez ostrzeżenia przechodzisz na inny język. Tak, mówię trochę po hiszpańsku, przecież mieszkam w Dallas. Nieźle sobie radzę ze slangiem tamtejszych Latynosów. Jeśli chcesz, mogę cię tego i owego nauczyć.

- Chętnie skorzystam. Czy mówisz przypadkiem po niemiecku? - spytał w tym języku.

Cholera, tutaj nie miała żadnych szans.

- Dopadłeś mnie. To był niemiecki, prawda?

- Tak. - Zaczął kroić mięso z taką gracją, jakby to było wytworne danie w jeszcze bardziej wytwornej restauracji. - W ilu językach mówisz? - Była nim coraz bardziej zafascynowana.

- Płynnie? W sześciu.

- Niesamowite. Gdzie się ich nauczyłeś?

Luc uśmiechnął się w nieco wymuszony sposób. Dziwne, bo przecież nie poruszyli żadnych kłopotliwych tematów.

- W szkole, a poza tym dużo podróżowałem. Wiesz, jak to jest. - Machnął ręką.

Nie, nie wiedziała, jednak natychmiast wyczuła, że Luc nie chce ciągnąć tego tematu. Powiedział kilka gładkich zdań, ale nie przekazał jej żadnej konkretnej informacji.

- Francuski, niemiecki, angielski, hiszpański... hm, jaki jeszcze? - naciskała, uśmiechając się czarująco. Czy Luc rzeczywiście nie chciał jej zbyt wiele zdradzić, czy też z racji wykonywanego zawodu była zbyt podejrzliwa?

- Włoski i chiński.

- To dla mnie czarna magia. Czy chiński jest naprawdę taki trudny?

- Owszem, ale... - Zawahał się na chwilę, co Carly natychmiast zauważyła. - Moja rodzina prowadzi tam interesy.

- Zajmujecie się handlem?

- Raczej public relations.

- Na skalę międzynarodową, tak?

- Gospodarka dąży do globalizacji. Obecnie każda duża firma działa na skalę międzynarodową.

No, nareszcie czegoś się o nim dowiedziała. Nic dziwnego, że od pierwszego wejrzenia wydał jej się człowiekiem o wyjątkowej pozycji.

- A co ty porabiasz?

- Studiowałam marketing - odpowiedziała zgodnie z prawdą. Nieważne, że działała na tym polu zaledwie rok, i to bez większych sukcesów. Nienawidziła biurowej pracy od dziewiątej do piątej, a grzeczne kostiumiki też nie były w jej stylu.

- Lubisz swoją pracę?

Nienawidziłam jej, odpowiedziała w myślach, a głośno stwierdziła:

- Jak to w życiu. Raz na wozie, raz pod wozem. - Ostatnio głównie pod wozem, dodała w duchu.

- Słucham?

- Och, to po prostu praca jak każda inna. - Postanowiła szybko zmienić temat. - Prowadzę bardzo nudne życie. Ty na pewno dużo podróżujesz. Opowiedz mi o swoim kraju.

- Jest mały, ale bardzo piękny. Mamy wspaniałe góry, malownicze wioski, a ludzie są niezwykle przyjaźni.

- To brzmi jak tekst z folderu.

- Możliwe. - Uśmiechnął się. - Montavia to taki nieodkryty skarb, alpejski raj. Warto, by świat dowiedział się, że mamy dużo do zaoferowania.

- Montavia? - Carly aż błysnęły oczy. - A gdzie leży ta piękna kraina? - Czują, że powinna ciągnąć ten temat. Luc zwlekał z odpowiedzią. Dlaczego tak długo nie chciał powiedzieć, skąd pochodzi?

- Niedaleko Szwajcarii - stwierdził wreszcie i spojrzał na stoły zastawione jedzeniem. - Masz ochotę na kawałek tortu urodzinowego?

Owszem, chętnie zjadłaby coś słodkiego, ale jeszcze chętniej poznałaby odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Odwróciła się w stronę stołu, ale zbyt energicznie, bo lekko zderzyła się z Lukiem i wylała na niego całą szklanekę herbaty.

Zamknęła w oczy i zaklęła w duchu. Chwyliła serwetki i zaczęła wycierać plamę na koszuli Luca. Tak dobrze jej szło, a teraz wszystko zepsuła.

Już niemal zyskała pewność, że Luc Gardner jest kimś ważnym. Skoro schował się na tej farmie, kryła się za tym jakaś tajemnica. Musiała odnieść sukces jako detektyw, by udowodnić wszystkim, że ostatnie niepowodzenie było dziełem przypadku.

Takie śledztwo dobrze jej robi. Przynajmniej nie umrze z nudów na tym odludziu. Jeśli okaże się, że Luc nie jest żadną ważną osobistością, też nic wielkiego się nie stanie. Oby było jednak inaczej.

ROZDZIAŁ TRZECI

To skandal, żeby wschód słońca był o tak nieludzkiej porze.

Taka była pierwsza myśl Carly tuż po przebudzeniu. Wyczołgała się z łóżka i powlokła do łazienki. Co też ją napadło. Czy naprawdę musi oglądać wschód słońca?

Zapomniała zapytać, o której podadzą śniadanie, a najbliższy bar sieci Starbucks, w którym mogłaby wypić ukochane frappuccino, znajdował się kilometry stąd.

W mieście dzień rozpoczynał się od klaksonów, syren i warkotu silników. Dobre, normalne i jakże swojskie dźwięki.

Tutaj, w Oklahomie, jakiś uparty ptaszek uznał za stosowne dzielić się swoją radością z całym światem. Ćwierkał, jakby postradał rozum. Wokół rozlegał się ryk krów. Jeszcze chwila, a pewnie zaczną pisać kogut.

Cóż, trzeba się do tego przyzwyczaić, bo to wygnanie może potrwać dość długo.

Wzięła prysznic i ubrała się. Miała nadzieję, że jej sportowe buty okażą się odpowiednie do konnej jazdy.

Zabrała aparat i ruszyła do drzwi. Zapewne to pierwszy i ostatni wschód słońca, jaki przyjdzie jej oglądać, więc warto zrobić kilka zdjęć.

Ruszyła do drzwi. Przy recepcji zaczęła się rozglądać nerwowo, by zagadnąć kogoś o śniadanie, a zwłaszcza o kawę. Niestety, hol wyglądał jak wymarły. Rozczarowana poszła w stronę stajni. Rześkie powietrze pachniało kwiatami. Na wschodzie zza horyzontu wyłaniała się pomarańczowa kula.

Carly uniosła aparat, czekając na moment, kiedy słońce zaleje niebo złotym blaskiem.

- Cudownie, prawda?

Drgnęła, niemal upuszczając aparat.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - szepnął.

- Wiesz, jestem z miasta i czuję się tu trochę nieswojo.

- Nigdy nie mieszkałaś na wsi?

- Nie, przeważnie na przedmieściach Dallas. Mam na wsi babcię, ale nigdy tam nie nocowałam. - Udała, że drży ze strachu. - No wiesz, boję się kojotów.

- W takim razie dlaczego przyjechałaś tu na wakacje?

- Siostra zafundowała mi pobyt w tym ranczu. Cieszę się, że nadal ze mną rozmawiasz, po tym jak wczoraj oblałam cię herbatą.

- Wypadki chodzą po ludziach.

- Kłopoty to moja specjalność. - Zrobiła kilka zdjęć rozświetlonego słońcem nieba. - Wybierasz się na przejażdżkę?

- Tak. A ty?

- Ja też. Nadal nie wiem, jak Teddi udało się mnie na to namówić. Nie lubię tak wcześnie wstawać i słabo jeżdżę konno. Na pewno chcesz stać tak blisko mnie? Nie boisz się, że znowu coś zmaluję?

- Drzę na samą myśl, ale chcę ci zaimponować odwagą.

Carly roześmiała się. Bez wątplenia Luc, bóstwo o cudownych włosach, był też miłym kompanem.

- Jednak podczas przejażdżki konnej trzymaj się ode mnie z daleka. Tak będzie dla ciebie bezpieczniej.

Okrążyli dom i zbliżyli się do stajni, przed którą czekało już tuzin osiodłanych koni i kilku pracowników. Carly zauważyła, że nie ma wśród nich Zgryźliwego Carsona, jak w myślach go nazywała. Świetnie. Wystarczyło, że musiała zwlec się tak wcześnie z łóżka i nie zniosłaby jeszcze na dodatek mrukliwego właściciela rancza.

- Nie martw się, świetnie sobie poradzisz z koniem - pocieszył ją Luc. - Są łagodne jak baranki i idą posłusznie za przewodnikiem. Znają na pamięć wszystkie ścieżki.

Oby, pomyślała Carly. Zrobiła kilka zdjęć, co w ogóle nie spłoszyło koni, lecz wzbudziło zainteresowanie jednego z pracowników.

- Czy może podczas przejażdżki serwujecie kawę? - spytała desperacko.

- Przejażdżka trwa tylko godzinę - odparł roześmiany Luc. - Po powrocie będzie nas czekać espresso.

- Och, uwielbiam ten napój bogów. - Zrobiła jeszcze kilka zdjęć, zauważając, że Luc starannie unika obiektywu. - Jesteś nefotogeniczny?

- Nie chcę psuć ci pięknych krajobrazów. Podszedł do nich jeden z pracowników.

- Dzień dobry pani. - Dotknął kapelusza. - Pamięta mnie pani? Mam na imię Dirk. Poznaliśmy się wczoraj na przyjęciu.

Był przystojny. Miał bardzo ładne piwne oczy i ujmujący uśmiech, jednak według Carly wąsik zdecydowanie go szpecił.

- Dzień dobry, Dirk.

- Podczas przejażdżki będzie dużo okazji do zrobienia pięknych zdjęć.

- Właśnie na to liczę.

- Pan Gardner na pewno wskaże pani najciekawsze miejsca.

- Z przyjemnością - potwierdził Luc.

Kowboj odszedł do swoich zajęć, a Carly spojrzała badawczo na Luca.

- Myślałam, że jesteś tu dopiero od dwóch dni.

- Często wypuszczam się na przejażdżki. Uwielbiam konie. - Wzruszył ramionami.

Ciekawe, że ilekroć słyszała jego głos, działo się z nią coś dziwnego. Przecież zawsze szczyła się niezwykłym opanowaniem. Hm, to widocznie głód kofeiny.

Przy stajni pojawiła się pięcioosobowa rodzina z Ohio. Dwóch małych chłopców podskakiwało i dość wrzaskliwie zachwycało się końmi, ptakami i wszystkim wokół. Nastolatka w odsłaniającej zakolczykowany pępek koszulce wyglądała natomiast na bardzo zniesmaczoną.

- Dlaczego musieliśmy tak wcześnie wstać? - spytała z pretensją. - Co za beznadziejne wakacje. Można umrzeć z nudów. Mówiłam, żeby jechać na Florydę. - Gdy zobaczyła Luca, jej skrzywiona twarz nagle rozpromieniła się w uśmiechu. - Dzień dobry, Luc.

Cóż za zadziwiająca metamorfoza, pomyślała Carly i wzniosła oczy do góry.

Luc przywitał się grzecznie z nastolatką, a potem zwrócił do Carly:

- Pokażę ci kilka miejsc, które warto sfotografować.

Kiedy podszedł do jednego z koni, nastolatka skoncentrowała się na kowboju trzymającym wodze. Zatrzepotała uwodzicielsko rzęsami, udając, że potrzebuje pomocy przy wsiadaniu na konia. Carly nie mogła się opanować i natychmiast uwieczniła tę scenę na fotografii.

Przewiesiła aparat przez ramię i podeszła do swojego wierzchowca. Dirk podał jej szarmancko rękę. Odetchnęła z ulgą, gdyż jej łaciaty koń zniósł te wszystkie zabiegi ze stoickim spokojem.

- Wszystko będzie dobrze, panno Carly. - Dirk mrugnął do niej. - Ten koń nazywa się Stormy. Łatwo nim kierować, jest niczym dobrze ułożony stary pies. Zresztą będę w pobliżu.

Biedny kowboj nie wiedział, że ma do czynienia z Carly Katastrofą. Jeżeli stary Stormy miał jakiś słaby punkt, ona na pewno na niego natrafi.

- Dzięki, Dirk. - Siadła wygodnie w siodle, a kowboj podał jej wodze. Stormy ani drgnął.

Koń Luca zachowywał się zupełnie inaczej. Unosił łeb, parskał, cofał się nerwowo. Widać jednak było, że Luc świetnie sobie radzi.

Wreszcie wszyscy dosiedli wierzchowców i ruszyli w drogę. Grupę ubezpieczało dwóch kowboi po bokach i jeden z przodu. Luc podjeżdżał kolejno do jeźdźców i ucinał sobie pogawędkę.

Jadąca między Dirkiem a nastolatką Carly doszła do wniosku, że powinna przestać o nim myśleć. Postanowiła zagadnąć dziewczynę.

- Cześć, jestem Carly Carpenter.

- Tina Osborne.

Carly natychmiast oczyma wyobraźni zobaczyła Ozzy'ego Osborne'a i jego szaloną, dysfunkcyjną rodzinę.

- Z tych Osborne'ów? - spytała dla podtrzymania konwersacji.

Tina obdarzyła ją spojrzeniem pełnym pogardy, jakże typowym dla nastolatek.

- Bez przerwy mnie o to pytają.

- To musi być męczące.

- Tak - mruknęła Tina i zwróciła spojrzenie na Luca, który galopował na pięknym karym wierzchowcu. - Czyż nie jest cudowny?

- Jeśli ktoś lubi takich facetów - odparła Carly, a w duchu dodała: i jeśli jesteś kobietą.

- O rany, podjeżdża do nas.

Po chwili Luc zrównał się z nimi.

- Nie zbliżaj się zanadto. - Carly spojrzała z niepokojem na ogromnego ogiera.

- Dlaczego nie? - spytał z uśmiechem. - Zeus umie się zachować. Za tymi drzewami jest staw i będzie okazja, by zrobić kilka dobrych zdjęć.

- Myślisz, że zobaczymy jakieś zwierzęta?

- Kto wie. Wczoraj widziałem tam czapłę siwą. Czasami przychodzą też lisy i szopy pracze, a także przylatują orły. Można tu spotkać wiele zwierząt, bo niedaleko jest rzeka.

- Kojoty też? - spytała lekko przestraszona.

- Kto wie - odparł rozbawiony.

- W razie czego uprzedzisz mnie, dobrze?

Roześmiał się tylko i pogalopował dalej. Patrząc na jego powiewające na wietrze złote włosy, Carly ukradkiem zrobiła mu zdjęcie.

- Jesteście parą?

Głos Tiny wyrwał ją z marzeń.

Teraz to Carly roześmiała się głośno. Myśl, że mężczyzna taki jak Luc mógłby zainteresować się kobietą taką jak ona, wydała się jej wyjątkowo komiczna.

Carly wróciła do pokoju nieco obolała, ale zadowolona. Zjadła banana i wreszcie napiła się kawy. Poranna przejażdżka okazała się o wiele przyjemniejsza, niż można się było spodziewać. Po drodze widzieli jeszcze kilka saren i dzikie indyki. Musiała się tylko pilnować, by zbyt często nie zerkać na Luca.

Trochę ją zaczynała męczyć przymusowa bezczynność. Westchnęła i włączyła laptop.

W poczcie znalazła e-mail od Lestera Molestera. Usunęła wiadomość bez czytania.

Była też wiadomość od Meg. Siostra życzyła jej dobrej zabawy z seksownym kowbojem. Ani słowa o tym, że wszystkie grzechy Carly poszły w zapomnienie i może spokojnie wracać do domu. Tę wiadomość również pozostawiła bez odpowiedzi. Przy pięknej siostrze Carly czuła się zawsze mało kobieca, brzydka i niezgrabna. Rodzice często powtarzali, że zamiast bez końca oglądać w telewizji filmy przyrodnicze i reportaże z dalekich krajów, powinna pójść wreszcie do fryzjera i kosmetyczki, by choć w części dorównać Wspaniałej Meg.

Gdy uporowała się z pocztą, otworzyła nowy plik. Musiała coś zrobić. Może powinna prowadzić pamiętnik. Po pięciu minutach spojrzała na monitor i wpadła w przerażenia. Każdy akapit zaczynał się imieniem Luc.

- Cholera, co się ze mną dzieje? - Zniesmaczona potrząsnęła głową.

Nagle coś jej wpadło do głowy i wpisała „Luc Gardner” do wyszukiwarki.

Nie znalazła absolutnie nic. Dziwne i... podejrzone.

Wpisała zatem Montavię i zaczęła czytać o małym alpejskim królestwie. Znalazła też zdjęcia malowniczych wiosek. Luc nie przesadzał, opowiadając z zachwytem o swojej ojczyźnie.

Na innej ze stron znalazła informacje o śmierci następcy tronu Montavii, który zginął podczas górskiej eskapady. W tym samym artykule znalazła informacje o królewskiej rodzinie Jardine. Król Alexander i królowa Aurora mieli jeszcze dwoje dzieci: córkę Anastazję i syna Luca.

Poczuła mrowienie w uszach, jak zawsze, gdy wpadała na jakiś trop.

Niecierpliwie przeglądała kolejne strony, poszukując podobizn królewskiej rodziny.

Już po chwili zamarła ze zdumienia. Ten wysoki i poważny mężczyzna w wojskowym mundurze to bez wątpienia Luc Gardner. Poznała go od razu, chociaż na zdjęciu miał bardzo krótko ostrzyżone włosy.

Jej zaciekawienie wzrastało z minuty na minutę.

Co następca tronu robi na takim odludziu? Gdzie jego ochroniarze i służba? Zamierzała znaleźć odpowiedź na to pytanie w internecie. Zresztą było to główne źródło jej informacji, a ona była w tym dobra. Warto też przejrzeć akta sądowe i policyjne oraz artykuły w gazetach.

Luc nie był nigdy za nic karany, jednak europejskie gazety pisały o nim nader często. Nazywano go „księciem playboyem”.

Jej wzrok przykuł nagłówek sprzed dwóch dni:

Księżę playboy zniknął

Z artykułu wynikało, że Luc zmylił ochronę i zniknął bez śladu. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewa. Pałac martwił się o jego bezpieczeństwo, a królewski kanclerz, książę Broussard, wyznaczył nagrodę za wskazanie miejsca pobytu księcia.

Co za niesamowity zbieg okoliczności. Mogłaby wreszcie zyskać sławę i uznanie. Owszem, знаła miejsce pobytu Luca, ale kanclerz Broussard o tym nie wiedział. Mogłaby udawać, że prowadzi śledztwo, które zakończy się oczywiście wielkim sukcesem. Zarobiłaby trochę pieniędzy i odzyskała pracę.

Drżącą dłonią podniosła słuchawkę i poprosiła o połączenie z centralą międzynarodową.

Nareszcie los się do niej uśmiechnął. Pechowa Carly była na tropie wielkiej sprawy. Nikt jej nie powstrzyma. Nawet Meg i Eric uznają, że świetnie się spisała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zrobiła to.

W przyпыwie dumy i radości Carly wykonała niemal perfekcyjny piruet. Wyglądałby jeszcze lepiej, gdyby na nogach miała inne buty.

Kości zostały rzucone, już nie było odwrotu.

Książę Broussard, królewski kanclerz, złapał się na haczyk. Uwierzył, że Carly już jest na tropie następcy tronu i w ciągu kilku najbliższych godzin uda się jej ustalić miejsce jego pobytu.

Nie ukrywał radości, chociaż martwił się o bezpieczeństwo Luca, drugiej najważniejszej osoby w Montavii.

Był tylko jeden mały problem. Gdy książę zapytał o referencje, musiała powołać się na agencję szwagra, a w dodatku, by potraktowana ją poważnie, przedstawiła się jako właścicielka tejże agencji. Teraz tylko trzeba szybko zadzwonić do Meg i ubłagać ją, by kryła siostrę.

A co tam, to zbyt poważna sprawa, by przejmować się takimi nieistotnymi szczegółami. Meg jeszcze jej podziękuje, a Eric z pocałowaniem ręki przyjmie ją z powrotem do pracy.

Tego popołudnia Carly trudziła się nad czymś, czego nie robiła od czasów szkoły średniej: próbowała się umalować. Sama nie wiedziała, po co to wszystko, ale ktoś kiedyś powiedział, że życie jest zagadką.

Właśnie malowała rzęsy, gdy ciszę zmącił odgłos strzału. Carly dźgnęła się maszarą w oko.

Rozległ się drugi strzał. Carly wytarła załzawione oko i podbiegła do okna. Okolica wydawała się spokojna.

Chyba że zgryźliwy Carson wreszcie stracił cierpliwość i zaczął po kolei eliminować gości. Możliwe też, że zorganizowano jakąś dziką kowbojską grę.

Lepiej to sprawdzić. Przecież chodzi o bezpieczeństwo następcy tronu. No dobrze, może nie miała postury goryla i nie nadawała się na ochroniarza, ale umiała posługiwać się bronią.

Gdy z aparatem fotograficznym w dłoni zbiegała po schodach, usłyszała kolejny strzał.

Te dźwięki rozlegały się daleko od domu. Schyliła się i przemykała od drzewa do drzewa. Gdy właśnie wybiegała na otwartą przestrzeń, rozległ się wrzask:

- Następna!

Carly westchnęła zde gustowana. To tylko strzelanie do rzutków.

Jej rozczarowanie szybko przemieniło się w radość, gdy zobaczyła, kto się w ten sposób zabawia.

Luc. Jej tajemniczy książę.

Dyskretnie zrobiła zdjęcie, a potem wyszła z kryjówki.

- Wspaniały strzał! - krzyknęła.

Luc opuścił strzelbę, a potem uśmiechnął się do niej i zdjął ochraniacze z uszu.

- Cześć. Chcesz też spróbować? Potrząsnęła energicznie głową.
- Nigdy w życiu nie trzymałam w ręku strzelby - powiedziała zgodnie z prawdą. Miała do czynienia tylko z pistoletem.
- Tym bardziej powinnaś spróbować.
- Już zapomniałeś, jak oblałam cię herbatą? Jestem niezdara, niszczę wszystko, co mi wpadnie w ręce.
- Lubię sporty ekstremalne.

Poczuła miły przypływ ekscytacji. Ach, jak jej tego brakowało! Im więcej czasu spędzi z następcą tronu, tym więcej zdjęć uda się jej zrobić. Przedstawi księciu Broussardowi niezbite dowody, że ustaliła miejsce pobytu Luca.

Myśl, że powinna zatem jak najczęściej przebywać w jego towarzystwie, była szalenie miła, oczywiście z zawodowego punktu widzenia. Była zupełnie odporna na przystojnych, uroczych i dobrze wychowanych następców tronu.

- No dobrze, to co mam robić?

Luc spojrział na nią z uznaniem, a potem wyjął z kieszeni kurtki stopery.

- Będiesz tego potrzebować, bo inaczej ogłuchniesz. - Gdy posłusznie wykonała polecenie, mówił dalej: - Stań za mną, pokażę ci, co robić.

Znów go posłuchała, choć najchętniej zrobiłaby mu teraz zdjęcie.

Luc uniósł strzelbę. Stał wyprostowany jak struna, zupełnie nieruchomo.

- Patrz uważnie.

Nie musiał tego mówić, i tak nie odrywała od niego wzroku.

Jak na tak wysokiego mężczyznę, poruszał się z niezwykle wdziękiem, niczym dziki kot. Był nie tylko przystojny, ale też bardzo proporcjonalnie zbudowany. Carly dotąd uważała, że arystokraci są nieco zniewieściali, jednak Luc był mężczyzną w każdym calu.

Poczuła, że zaschło jej w gardle. Przestań marzyć i myśl o interesach, skarciła się w duchu.

Luc udzielał jej dalszych instrukcji, ale niewiele z tego zrozumiała.

Gdy rozległ się wystrzał, podskoczyła przestraszona i upuściła aparat.

- Czy wszystko jasne? - Luc odwrócił się do niej.

- Tak, oczywiście - odparła nieco nieprzytomnie.

- To co, spróbujesz? - Podał jej strzelbę.

Wzruszyła ramionami, co miało być oznaką nonszalancji.

- Jasne.

- Włóż to. - Podał jej kurtkę. - Trzeba chronić ramię.

Posłusznie wsunęła dłonie w rękawy, a potem patrzyła zmieszana, jak Luc staje tuż przed nią i zapina na niej kurtkę. I stał się cud. Po raz pierwszy w życiu poczuła się mała, delikatna, krucha i kobieca.

Otrząsnęła się z tych głupot i uniosła zadziwiająco ciężką strzelbę.

- Rozluźnij się - powiedział powoli i cierpliwie. - Nie, nie tak. Rób to co ja.

Stanął za nią i przycisnął się do jej pleców. Wyciągnął ramiona i ujął jej dłonie.

- Ty i strzelba musicie stanowić jedność. - Rozmasował jej ramiona i szepnął do ucha: - Nie bądź taka spięta.

Carly westchnęła, próbując się skoncentrować. Muszę się skupić na tym, co robię, ale przede wszystkim muszę zapomnieć, że ten mężczyzna jest taki atrakcyjny, powtarzała sobie w duchu.

- Świetnie. Kontroluj oddech.

- No dobrze, do dzieła. To znaczy zaczniemy strzelać.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Krzyknij „następny”, kiedy będziesz gotowa. Obserwuj uważnie cel. Delikatnie pociągaj za spust. Jestem przy tobie.

Krzyknęła i usłyszała charakterystyczny dźwięk. Była bardzo skoncentrowana.

Luc wciąż stał tuż za nią. Pilnował, by w odpowiednim momencie pociągnęła za spust.

Strzeliła. Kawałki rzutka rozsypały się po niebie niczym konfetti.

- Wspaniale - pochwalił ją Luc. - Masz dobre oko i pewną rękę. Jestem pod wrażeniem.

- Naprawdę? - Serce biło jej jak szalone. Nawet nie chciała wiedzieć, dlaczego.

Luc ponownie załadował strzelbę.

- Spróbujemy jeszcze raz?

- Ależ panie Gardner, jest pan niezwykle odważnym człowiekiem.

- Przecież stałem za tobą, byłem więc bezpieczny.

- Należy mi się chyba jakaś nagroda. Zrobię ci zdjęcie, dobrze? Siostra będzie zachwycona.

Podniosła z trawy aparat i wymierzyła obiektyw w Luca.

- To właśnie siostra załatwiła ci te wakacje, prawda?

- Tak, Wspaniała Meg.

- Jesteście z sobą blisko?

- Bardzo. A ty masz rodzeństwo?

- Tak, mam siostrę Annę.

Chyba Anastazję, poprawiła go Carly w duchu.

- Czy jest równie atrakcyjna jak... - W porę ugryzła się w język. - Czy jest piękna?

- Nie potrafię być obiektywny, ale większość ludzi tak uważa. A czy twoja siostra jest równie urocza jak ty?

- Meg jest naprawdę wspaniała i bardzo piękna. Gdyby nie była taka miła, chyba bym ją znienawidziła.

- Dlaczego? - zdziwił się.

To był zbyt skomplikowany temat, w który nie chciała się teraz wdawać.

- Luc, zrobisz mi zdjęcie, jak strzelam?

- Oczywiście.

Carly uniosła strzelbę, dała sygnał, a potem paskudnie spudłowała.

- O cholera - jęknęła.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęcił ją Luc.

W tym momencie zza linii drzew wyszła Teddi Benedict.

- Cześć - przywitała ich, wymachując energicznie rękami. Tuzin kolorowych bransoletek zsunął się ze szczupłych nadgarstków w kierunku ramion.

- Przyłączysz się do nas? - spytał jak zwykle uprzejmy Luc. - Dziś udzielałam lekcji.

- A ja mogę zaświadczyć, że jest świetnym nauczycielem. Lepiej skorzystaj z okazji - poparła go Carly.

- Nie, dziękuję. - Teddi zdecydowanie potrząsnęła głową, wprawiając w ruch olbrzymie pomarańczowe kolczyki.

- Unikam broni, bo narusza równowagę mojego jin i jang.

- Ach tak - odparł Luc.

No cóż, Carly gorączkowo szukała jakiegoś sensownego komentarza.

- Robimy sobie zdjęcia, które zamierzamy wysłać naszym siostram.

- Naprawdę? - Teddi aż zamrugła ze zdziwienia. - Oboje macie siostry? Fajnie. A braci?

- Ja nie - odparła Carly.

- A ty, Luc?

Przez chwilę milczał, a w jego oczach pojawił się ból.

- Mój brat zginął tragicznie kilka lat temu.

- Och, kochanie, tak mi przykro. - Teddi spuściła wzrok.

- Wybacz. No to daj mi aparat. Zrobię zdjęcie, które będziesz mógł posłać siostrze. Stań bliżej Carly. Świetnie razem wyglądacie, jesteście oboje tacy wysocy. Ona ma ciemne włosy, a ty jesteś blondynem. To przeciwieństwo buduje piękną metafizyczną karmę.

Carly niemal czuła wahanie Luca, który jednak był zbyt grzeczny, by odmówić. Jej samej taki rozwój sytuacji był bardzo na rękę. Im więcej zdjęć,

tym lepiej. I co z tego, że cieszyło ją towarzystwo Luca. Dobrze wiedziała, że to lekkie zauroczenie nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji.

Luc odchrząknął i pozwolił, by Teddi ustawiła go obok Carly. Oczywiście nie chciał, żeby robiła to zdjęcie, ale protesty mogłyby się wydać podejrzane. Ostatecznie to tylko wakacyjna fotka, a nie materiał na pierwszą stronę tabloidu. Poza tym nawet najlepszy detektyw nie odgadnie, gdzie to zdjęcie zostało zrobione.

- Chwileczkę. - Teddi wskazała strzelbę. - Carly, weź ją. Luc, stań za Carly i pokaż jej, jak należy strzelać. Zrobimy z tego piękną scenkę.

Carly i Luc wymienili znaczące spojrzenia. Czyżby Teddi obserwowała ich jakiś czas z ukrycia?

- To nie jest konieczne - powiedziała Carly zbyt szybko. Poczula, jak palą ją policzki. - Po prostu zrób nam zdjęcie.

- Tak jest nudno. Proszę cię, Luc. Chcę zrobić fajną fotkę.

- Obawiam się, że ona nie ustąpi - mruknął Luc.

- On czasami mówi tak zabawnie, prawda, Carly? No dobra, a teraz zróbcie, o co prosiłam.

Błagalna mina Teddi zrobiła swoje. Luc roześmiał się i posłusznie stanął za Carly, po czym podał jej strzelbę.

- Jeśli to zrobimy, może wreszcie da nam spokój.

- Tak, oczywiście! - krzyknęła Teddi, która uznała to za świetny żart.

Luc i Carly ustawili się jak podczas nauki strzelania. Kiedy oparł się lekko o jej plecy i wyciągnął ręce, drgnęła. To go zaskoczyło, ale też sprawiło dużą przyjemność.

Jakie to szczęście, że od dzieciństwa wpajano mu dyscyplinę. Tylko dzięki temu udało mu się zachować spokój. Patrzył na delikatną skórę Carly, czuł kwiatowy zapach jej szamponu.

Wywarła na nim wielkie wrażenie już w momencie poznania. Gdy schyliła się, by podnieść aparat, nie mógł oderwać wzroku od jej długich zgrabnych nóg. Dlaczego tak pięknie zbudowana kobieta ubierała się w bezkształtne i bure ciuchy?

Mimo to emanowała kobiecością, choć nie było w niej za grosz kokieterii. Wyglądała pięknie nawet teraz, potargana, z czarną smugą przy zaczerwienionym oku.

- Jeszcze jedno ujęcie, dobrze? - Głos Teddi wyrwał go z rozmyślań. - Gotowe. - Podała aparat Carly, która szybko odsunęła się od Luca. - Ta zabawa z aparatem zakłóciła moje czy. Przepraszam, ale teraz was zostawię, bo muszę przed lunchem poszukać odpowiedzi w kryształach. - Zmarszczyła brwi. - A może lepiej w liściach herbacianych.

- No cóż, na ogół zachowuje się raczej normalnie - skomentowała Carly, gdy zostali sami.

- Przepraszam, ale nie mogę się z tobą zgodzić. Teddi jest urocza, ale prawie nigdy nie zachowuje się normalnie. Ona wierzy w reinkarnację i uważa się za kolejne wcielenie Quinn Latifah.

- Zaraz, ale przecież Quinn Latifah żyje.

- No właśnie.

Spojrzeli na siebie i jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Ku uldze Luca napięcie erotyczne nagle się ulotniło. Carly była inteligentna, urocza i bardzo różniła się od kobiet, które znał. Jej towarzystwo wprawiało go w dobry humor i pozwalało na chwile zapomnieć o troskach. Poza tym nie musiał się martwić, że dziennikarze posądzą ich o romans. Nie była w jego typie, nie pasowała też zupełnie do wizerunku przyszłej królowej. Poza tym tutaj był bezpieczny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Carson Benedict rzucił zakurzony kapelusz na biurko i rozsiadł się na brązowym skórzanym fotelu, który dostał od babci na dwudzieste pierwsze urodziny. Tego dnia przekazała mu również zarząd nad ranczem. Upłynęły lata i do czego doszedł? Ranczo popadało w ruinę. Teddi miała rację. Ceny bywała spadały, dlatego powinien więcej zarabiać na pokojach gościnnych. Niestety, na ogół większość z nich świeciła pustkami.

Włączył komputer i sprawdził rezerwację na następny miesiąc. Kiepsko.

- Pogódź się z nieprzyjemną prawdą, Carson. - Do gabinetu weszła Teddi.
- Przeanalizowałam dokładnie moją mapę energii i już wiem, czego nam brakuje. Harmonijnego połączenia miłości i pracy. Jeśli zmienimy nazwę na Ranczo Miłości i zrobimy tu hotel dla singli, nasza sytuacja ulegnie poprawie. To będzie pierwszy krok do zachowania równowagi między naszymi jin i jang.

Odsunął się od komputera i zmarszczył brwi. Zrozumiał, że Teddi znów mówi o zmianie nazwy, ale tak w ogóle to nie miał pojęcia, o czym bredziła. Wątpił, czy sama to wiedziała.

- Obiecałaś nie wracać więcej do tego tematu.

- Dotrzymam obietnicy, kiedy wygrasz zakład. Cholera, co też go podkusiło, żeby się z nią zakładać.

- Pracuję nad tym.

- Szczerze mówiąc, nie zauważyłam. Luc i Carly nie będą tutaj całą wieczność.

- Carly? - Następca tronu i tyczkowata dziewczyna, która ubiera się jak strach na wróble... - A co myślisz o Pammie Wilson? Ona chyba bardziej pasuje do Luca.

Teddi zrobiła jedną z tych kobiecych min, które mają sugerować, że mężczyźni są beznadziejnie głupi.

- Pammie odpada.

- Przecież jest łacina. - Skoro już miał się bawić w swata dla swojego przyjaciela, to chciał wybrać jak najlepiej.

- Zaufaj mi, Carson. Pammie się nie nadaje. Brak jej integralności duchowej. - Wzięła przycisk do papieru i przez chwilę wpatrywała się w niego niczym w kryształową kulę.

- Poza tym umawialiśmy się, że wyswatasz dwoje pierwszych samotnych gości. A zatem Luca i Carly. Nie widziałeś, jak z sobą rozmawiają? Według mnie już zaiskrzyło. Ofiarowałam każdemu z nich kaczkę mandaryńską.

- Co takiego?

- No wiesz, chodzi o feng shui. Kaczka jest symbolem miłości i romansu.

- Aha. - Feng shui czy nie, rzeczywiście zauważył, że Luc dobrze się czuje w towarzystwie Carly. Wczoraj przy kolacji wspominali poranną przejażdżkę i co chwila wybuchali śmiechem.

Z drugiej jednak strony to nie musiało nic oznaczać.

Luc był grzeczny wobec wszystkich pań. Bez trudu zdobywał kobiece serca i zapewne miało to niewiele wspólnego z mandaryńskimi kaczkami.

- No to jak? Zabawisz się wreszcie w swata?

- Nie chcę go w nic wrabiać. - Carson potarł szyję.

- On i tak już ją lubi - powiedziała z niezachwiana pewnością.

Carly się spóźniła.

Kolacja, podana w olbrzymiej jadalni Benedictów, zaczęła się pięć minut temu. Carly nienawidziła się spóźniać, przede wszystkim dlatego, że wtedy wszyscy się na nią gapili. Cóż, najpierw przez pół godziny pisała mejle, a potem z niezrozumiałych do końca powodów postanowiła się wykapać i umyć włosy.

Z jadalni dochodził szczeł widelców i szmer głosów, a także smakowity zapach ciasta. Poczwała, że jest potwornie głodna.

Wygładziła spódnicę i weszła do środka. Chociaż rozmowy nie umilkły, w jej stronę zwróciło się kilka zaciekawionych twarzy. Jej pewność siebie natychmiast prysła.

Luc również na nią patrzył. Poczowała miłe ciepło, lecz złożyła to na karb niezwykle apetycznego pieczonego indyka, który królował pośród długiego stołu. Uwielbiała soczyste mięso i chrupiącą skórę.

Ruszyła w kierunku wolnego miejsca pomiędzy Tiną Osborne i księciem. Kątem oka zauważyła co prawda duży kaktus w doniczce, niestety nie dostrzegła, że zaczepiła spódnicą o jedną z odnóg. Roślina zachwiała się niebezpiecznie.

Carly próbowała się uwolnić, ale przekłety kaktus chwiał się z boku na bok. Wystarczył jeden fałszywy ruch, by runął z łoskotem i poranił jej nogi.

Ledwie zdołała pomyśleć, że znów zrobi z siebie idiotkę, gdy czyjaś dłoń przytrzymała donicę.

- Mało brakowało. - Luc uśmiechnął się czarująco.

- Dzięki, jestem twoją dłużniczką - westchnęła z ulgą.

Skłonił głowę, ale Carly zdołała zobaczyć błysk rozbawienia w jego oczach. Zrobiło jej się przykro. A zatem uważał ją za idiotkę, nieporadną i śmieszna. Pechową Carly pozbawioną wdzięku. Obiekt wiecznych kpin. Świetnie, ostatecznie była do tego przyzwyczajona. To był jej życiowy bagaż, przekleństwo, od którego nie zdoła się uwolnić.

Dlaczego zatem tym razem zabołało tak mocno?

Gdy Luc odsunął dla niej krzesło, umknęła spojrzeniem. Wystarczy jak na jeden dzień. Jej duma została już dostatecznie zadraśnięta. Jeśli Luc zacznie z niej kpić, chyba się rozplacze. Hm, a to dla odmiany byłoby coś zupełnie nowego.

- Dziękuję - powiedziała sztywno. - Przepraszam za spóźnienie.

Carson Benedict mruknął trochę nieprzyjaźnie, ale Teddi zaszczębiotała:

- Nic się nie stało, przecież jesteś na wakacjach. - Podała jej półmisek z puree z zielonego groszku.

Carly nienawidziła groszku, ale nie chciała robić sceny, dlatego nałożyła na talerz solidną porcję.

Zauważyła, że na ranchu pojawili się nowi goście, matka i córka z Marylandu, drobne, ładne blondynki. Carly poczuła się przy tych zwiewnych istotach równie zgrabna jak cielna krowa.

Młodsza z pań, Pammie, skoncentrowała całą uwagę na Lucu i zasypywała go opowieściami o sukcesach odnoszonych w ujeżdżaniu. Chwaliła się, że jest rezerwową w kadrze olimpijskiej. Zdobyła też kilka pucharów w ważnych zawodach i była właścicielką czempiona.

Luc słuchał jej z zainteresowaniem, wtrącając od czasu do czasu celne komentarze. Kilkakrotnie próbował też wciągnąć pozostałych gości do konwersacji. Niestety Carly nie miała nic inteligentnego do powiedzenia na ten temat.

Wiele razy żałowała, że nie może rozprawiać o swoim hobby, ale ktoś chciałby słuchać o tym, jak całą noc stała za drzewem i śledziła niewiernego męża klientki. Rzadko też ktoś chciał rozmawiać o programach obejrzanych na kanale przyrodniczym.

Gdy usłyszała ponury i chrapliwy głos Carsona Benedicta, niemal zadławiła się ciasteczkami.

- Panno Carpenter, czy widziała już pani Sky Bluff? Potrząsnęła głową, przełknęła i odparła:

- Nie. Nawet nie wiem, o czym pan mówi.

- To trzeba zobaczyć. Mam rację, Luc?

Luc odwrócił się od blond piękności i uśmiechnął do Carly, która powitała to z satysfakcją.

- Oczywiście. Najpiękniej jest tam o zachodzie słońca.

- Powinniście się tam kiedyś wybrać. Carly mogłaby tam zrobić kilka zdjęć.

Aż zamrugwała ze zdziwienia. Co to, noc cudów? Mrukliwy Carson był dzisiaj nadzwyczaj rozmowny.

- Z przyjemnością - zgodził się Luc. - Możemy pojechać dżipem albo konno. Jak wolisz?

Oczywiście wolałaby pojechać dżipem, ale skoro Pammie mogła jeździć konno, ona też.

- Wolę konno.

- Świetny wybór. Z siodła lepiej widać krajobraz. Jest tam nawet orle gniazdo.

- Orły? - wykrzyknęła afektownie Pammie. - Cóż za wspaniałe, majestatyczne zwierzęta. Zawsze chciałam zobaczyć je na wolności.

Jak zwykle grzeczny Luc zaprosił na wyprawę wszystkich obecnych przy stole. Pammie z zadowoleniem przyjęła zaproszenie, obdarzając Carly triumfującym uśmiechem.

Jasne, tak jakby pechowa Carly mogła stanowić dla kogoś wyzwanie. Tak jakby miała szansę olśnić następcę tronu.

Luc zaproponował jej wycieczkę, by zrobić przyjemność Carsonowi. Był urodzonym dyplomatą, traktował każdego z równym szacunkiem. Tak, to kwestia dyplomacji i taktu. Rozmawiał z nią miło, bo był dobrze wychowany.

To oczywiste, że wolał łaciną Pammie. Który mężczyzna by nie wolał?

Skoncentruje się na śledztwie, to jest w tej chwili najważniejsze. Dzięki temu znów będzie szczęśliwa.

Tak, będzie szczęśliwa, nawet gdyby to ją miało zabić.

Carly leżała na łóżku. Bose stopy oparła na wezglówiu, przy uchu trzymała słuchawkę. Na brzuchu miała laptopa, notatnik i ołówek.

Usłyszała już trzy sygnały. Liczyła, że Meg i Eric nie odbiorą.

Przed chwilą skończyła rozmawiać z kanclerzem Montavii i musiała szybko uwiarygodnić historyjkę, którą mu sprzedała. Śledztwo w sprawie zaginionego następcy tronu miało szansę zakończyć się o wiele wcześniej, niż przewidywała.

Po wczorajszym wieczorze musiała zwalczyć głupie i niedojrzałe uczucie zazdrości, bo uznała, że Luc poświęca zbyt wiele uwagi słodkiej i ślicznej pannie. Pewnie dlatego chciała już mieć to wszystko za sobą i zakończyć sprawę.

- Agencja Wright Stuff.

- Cześć, siostró. - Odetchnęła z ulgą, że to Meg.

- Carly! Cieszę się, że dzwonisz. Jak tam twoje wakacje?

Skrzywiła się, a potem popchnęła stojącą na stoliku lampę w kształcie końskiej głowy. Nie ma co narzekać, przecież Meg mogła jej załatwić wycieczkę krajoznawczą w gronie emerytów.

- Wspaniale.

- Poznałaś już jakichś gorących kowbojów? Jej naiwna siostra nigdy nie traciła nadziei.

- Nie.

- Daj spokój, na ranczu są tabuny mężczyzn. Sprawdziłam to, zanim... - Meg urwała, ale nie miało to większego znaczenia, bo Carly od dawna знаła prawdę.

- Nie chcę rozmawiać o moim życiu uczuciowym, Meg. Czy Eric nadal jest na mnie wściekły? Poczyniłaś jakieś postępy w tym względzie?

- Wciąż nad tym pracuję - odparła Meg po chwili milczenia.

A zatem tym razem nawet seks nie pomógł, pomyślała Carly.

- Nieważne, nie martw się. I tak nie zamierzam jeszcze wracać do domu, bo mam tu coś do zrobienia.

- Co takiego? - spytała Meg podejrzliwie.

Chętnie zwierzyłyby się siostrze, bo Meg na pewno by ją zrozumiała. Co innego Eric. W tej chwili nie powierzyłby szwagierce żadnej sprawy, a zwłaszcza tak ważnej. Chodziło przecież o następcę tronu.

Królewski kanclerz był zachwycony zdjęciami, które mu przesłała mejlem, i prosił, by kontynuowała śledztwo. Niestety Eric był formalistą i gdyby poznał prawdę, natychmiast zwolniłby Carly.

- Słuchaj, wiem, że to nie najlepszy moment, ale chcę cię prosić o przysługę.

- Tak?

Niemal widziała zmarszczkę na czole siostry.

- Przestań się krzywić, bo będziesz miała zmarszczki. Proszę tylko, byś dała mi dobre referencje, gdyby ktoś o mnie pytał.

- Hm, ktoś już dzwonił w tej sprawie. Facet z bardzo śmiesznym akcentem.

Carly na chwilę wstrzymała oddech.

Broussard nawet się o tym nie zająknął, a ona nie pytała. Była zbyt podekscytowana i całą uwagę skoncentrowała na jego instrukcjach: pracować dalej nad sprawą, wysłać jak najwięcej zdjęć, przygotować szczegółowy raport na temat wszystkich poczynań Luca. Uznała to za nieco dziwne, ale książe Broussard wyjaśnił, że pałac nie chce przeszkadzać księciu w wypoczynku. Musieli mieć tylko pewność, że jest bezpieczny i nic mu nie grozi. Ostatecznie chodziło o następcę tronu.

W pełni to rozumiała. Kiedy książe zaproponował jej wyższe honorarium, poczuła się jak bohaterka. To dzięki niej dwór w Montavii mógł spać spokojnie. Będzie pilnować Luca, a on złapie trochę oddechu i miło spędzi zasłużone wakacje. A przede wszystkim Carly udowodni całemu światu, że jest świetnym detektywem.

Cóż, Broussard nie był głupcem. Nie uwierzył jej na słowo i wolał wszystko sprawdzić.

- No i co mu powiedziałaś? - spytała, usiłując zachować spokój.

- Prawdę. To znaczy że jesteś bystra i bardzo zdolna.

Carly zalała falą siostrzanej miłości. Uspokoila oddech i szepnęła:

- Kocham cię.

- Kim jest ten facet i o co właściwie chodzi?

- Meg, proszę cię, ten jeden raz mi zaufaj, dobrze? Nie mów nic Ericowi.

Gdyby ten facet ze śmiesznym akcentem jeszcze do ciebie zadzwonił, przekaż mi natychmiast, o czym rozmawialiście.

- To mi się nie podoba.

- Obiecuję, że tym razem nie wpakuję się w żadne kłopoty.

- Powiedz natychmiast, o co chodzi, bo nie będę cię dłużej kryć przed Erikiem.

Carly przez chwilę próbowała coś wymyślić, lecz nagle ją olśniło.

- W porządku. Nie chciałam o tym mówić, bo na to za wcześnie, ale skoro tak nalegasz... Poznałam kogoś bardzo interesującego.

To przecież była prawda. Co z tego, że kobieta jej pokroju nie miała szans na poważny związek z Lukiem?

- Wiedziałam, dokąd cię wysłać. - Meg wyraźnie odetchnęła z ulgą.

Carly skrzywiła się i brnęła dalej.

- Wiesz, zanim zacznę o nim myśleć na poważnie, muszę go lepiej poznać.

- Mądra decyzja, zwłaszcza że kiedyś umawiałaś się z przystojnym dilerem narkotyków - przypomniała zupełnie niepotrzebnie. - Ostrożności nigdy za wiele. Czy to cudzoziemiec?

- Tak, Francuz.

- Olala. Siostrzyczko, chyba dobrze trafiłaś. Podobno Francuzi są świetnymi kochankami.

- Meg, uspokój się - poprosiła łagodnie.

- No dobra, ale obiecaj, że wszystko mi opowiesz. - Roześmiała się. -
Mówiąc wszystko, mam na myśli pikantne szczegóły.

- Obiecuję. Jeśli jest naprawdę tym, na kogo wygląda, będzie o czym
opowiadać. - Szczera prawda. - Meg, przepraszam, ale muszę kończyć. Ktoś
puka do drzwi.

- Może to twój francuski kochanek?

- Meg - syknęła ostrzegawczo.

- No dobra, to na razie. Pamiętaj, że obiecałaś mi wszystko opowiedzieć.
Carly jęknęła i rozłączyła się. Zsunęła się z łóżka, zrzucając na podłogę
notatnik i ołówek. - Kto tam?

Wciągnęła buty, stanowczo za duże. Co ją podkusiło, żeby je w ogóle
kupić. Chyba miała bielmo na oczach, skoro nie zauważyła, że są okropne.

Po chwili namysłu zrzuciła je z nóg, wzięła ze stolika jabłko i podeszła do
drzwi.

Widok gościa niewymownie ją zaskoczył. Na progu stał zmieszany
Carson Benedict. W ręku trzymał kapelusz, a u jego stóp jak zwykle tkwił
szkaradny kundel.

Carly z wrażenia na chwilę zaniemówiła, aż wreszcie wyjąkała:

- Pan Benedict.

- Panno Carpenter, mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Omiótł
spojrzeniem pokój, a potem utkwiał wzrok w jej twarzy. Odruchowo obracał w
dłoniach kapelusz. - Nie wiem, czy pani zapoznała się z naszym programem, ale
dziś wieczorem organizujemy dwudniowy biwak z prawdziwymi kowbojami i
bydłem. Może chciałaby się pani wybrać?

- Biwak? Miałabym spać na ziemi gdzieś pośrodku lasu?

- Wszyscy goście dostaną śpiwory. Miałaby spędzić noc z kojotami?

- Myślałam, że dziś po południu wszyscy jadą do Sky Bluff.

- Och, to chyba niezbyt dobry pomysł. - Zmieszał się jeszcze bardziej. -
Te wszystkie kobiety, które wybierają się na wycieczkę, tylko wystraszą orły.

Spojrzała na niego równie rozbawiona, co zdziwiona. Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumiała, do czego Carson Benedict zmierza.

- To nikt nie jedzie do Sky Bluff?

- Zorganizujemy tę wycieczkę kiedy indziej. Wczoraj wieczorem wpadłem na pomysł tego biwaku. Luc się wybiera, pani też musi jechać.

Musi? O co mu chodzi?

Carly uważnie spojrzała na wysokiego, ponurego ranczera. Czy był równie szalony jak jego siostra? W każdym razie teraz plótł od rzeczy.

Nieważne. Dzięki niemu będzie mogła spędzić trochę czasu z czarującym następcą tronu. Owszem, nie cierpiała biwaków i nie podobał się jej pomysł noclegu pod gołym niebem. Wokół ciemno, że oko wykol, no i nie będzie klimatyzacji. Skoro jednak Luc może spędzić dwa dni, gapiąc się na krowy, to i ona może. Właściwie nie miała wyboru, bo od tego zależała jej dalsza kariera zawodowa. W dodatku dwór królewski w Montavii oczekiwał, że Carly będzie miała oko na Luca i zapewni mu bezpieczeństwo.

Zrobi co w jej mocy, o ile nie będzie musiała walczyć z wygłodniałymi kojotami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Luc ze swego wierzchowca obserwował sznur jeźdźców mijających bramę. Goście, pracownicy rancza, wreszcie wóz z zaopatrzeniem. Świeciło ostre słońce i wiał lekki wiatr, ale gdzieś z oddali dobiegało głucho dudnienie grzmotów, co zapowiadało zmianę pogody.

Dirk, szef kowbojów, obiecał, że rozbiją biwak, zanim zapadnie zmrok, zapewne niedaleko Big Creek. Goście będą mieli okazję przeżyć prawdziwą przygodę i zobaczyć, jak wygląda przepęd bydła na inne pastwisko.

Luc odetchnął pełną piersią. Poczul zapach wczesnego lata, ale też woń skóry i koni. Kwitły słoneczniki, szałwia, dzwonki. Świat to jednak piękne miejsce.

Potrzebował odpoczynku. Miał dość wiecznych uwag Artura Broussarda, bo i bez nich wiedział, że nigdy nie dorówna Philippe'owi. Musiał w samotności przemyśleć kilka ważnych spraw. Tutaj nikt nie wywierał na niego presji, nikt nie śledził jego poczynań. Podczas pobytu na ranczu Carsona nie podjął wprawdzie żadnych ważnych decyzji, ale przynajmniej odnalazł spokój duszy.

No, może niezupełnie, bo ostatnio jego myśli zaprzętała pewna długonoga, niesłychanie zgrabna brunetka.

Uśmiechnął się do niej, a ona w odpowiedzi zmarszczyła śmiesznie nos. Siedziała sztywno w siodle i wyglądała na nieco przestraszoną. Na ten widok Luc uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Nie bardzo rozumiał, dlaczego wciąż o niej rozmyśla. Przecież nie przyjechał tu, by flirtować lub wdawać się w romanse.

Uchylił kapelusza przed panną Wilson, która machała do niego zapamiętale. Powinien być nią oczarowany, bo wydawała się idealną partnerką dla mężczyzny o jego pozycji. Niestety, nie był nią zainteresowany.

Carly była zupełnie inna niż Pammie. Jak by to powiedzieć... taka naturalna. Nie trzepotała zalotnie rzęsami, nie rzucała powłóczyстых spojrzeń, nie zgrywała się na słabą kobietkę. Miała za to fantastyczne poczucie humoru i świetnie bawił się w jej towarzystwie. Potrafiła żartować z samej siebie, a prawdę powiedziawszy, było z czego, bo miała dość nieskoordynowane ruchy i nieustannie przytrafiały się jej różne wpadki.

Była dzisiaj zupełnie inaczej ubrana. Workowate ciuchy gdzieś znikły i zastąpiły je dopasowane džinsy, męska koszula i żółty top. Szkoda, że nie widział, jak w tych obcisłych džinsach wsiadała na konia. Wiedział już, że miała bardzo zgrabne nogi, ciekawe, czy jej biodra są równie ponętne.

Luc ścisnął kolanami boki wierzchowca i podjechał do Carly.

Jej włosy mieniły się wszystkimi odcieniami brązu i powiewały swobodnie.

- Gdzie masz kapelusz?

- Nie mam. - Założyła pasemko włosów za ucho.

- Dlaczego? - Spojrzał na słońce. - Pracownicy rancza mieli rozdać gościom niezbędny ekwipunek.

- Rozdawali, ale nie wzięłam kapelusza. Mam ciemną karnację, nic mi nie grozi. - Wyjęła z kieszeni okulary przeciwsłoneczne. - Mam to. Widzisz, wszystko w porządku. - Włożyła okulary.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem i zaproponował:

- Dam ci mój kapelusz.

- Jak chcesz, ale i tak go nie włożę.

- Daj mi znać, gdybyś zmieniła zdanie.

Wiedział, że nic takiego się nie stanie. Carly była nie tylko silną kobietą, ale też wyjątkowo dumną. Nie lubiła przyznawać się do błędów.

- Nie boję się słońca. Mogę cały dzień jeździć na nartach i nawet nie mam zaczerwienionej skóry.

- Jeździć na nartach? - Kiedyś uwielbiał ten sport, teraz myślał o nim z niechęcią.

- Owszem, na wodnych też. - Przyjrzała mu się uważnie. - Niech zgadnę, ty na pewno jeździsz świetnie na nartach.

Pewnie masz na półkach kilka pucharów.

- Dlaczego tak sądzisz? - Nie jeździł na nartach już od bardzo dawna i tak już zostanie.

- Przecież mieszkasz w górzystym kraju. - Spojrzała na niego rozbawiona.

- No tak.

Poczuł się nieswojo. Koń chyba wyczuł jego zaniepokojenie i zarzucił łbem. Luc nie był zadowolony, że Carly tak dokładnie zapamiętała, co mówił jej o Montavii. Jednak największą przyczyną jego frustracji była kolejna fala bolesnych wspomnień.

- Nie wiem, czy mi uwierzysz - mówiła dalej Carly, nieświadoma jego nastroju - ale jeżdżę całkiem nieźle i jeszcze nikogo ani nie zraniłam, ani nie zabiłam. Radzę też sobie nieźle na nartach wodnych.

Hm, narty wodne. Czemu nigdy nie spróbował tego sportu?

- Naprawdę?

- Tak. - Uniosła jedną nogę. - Mam tak duże stopy, że mogę się ślizgać bez desek. - A gdy Luc się uśmiechnął, dodała: - Potrafię wykonywać różne ewolucje.

- W takim razie bardzo chciałbym to zobaczyć - powiedział szczerze. Natychmiast wyobraził sobie Carly w kostiumie kąpielowym. Zaschło mu w gardle.

- A ty jeździsz na nartach wodnych?

- Chętnie bym się nauczył, chociaż zawsze wolałem szaleć na śniegu.

- Wolałeś?

Tak, w przeciwieństwie do brata, ale tego tematu nie zamierzał rozwijać.

Gdy zauważył wygrzewającą się na skałach tłustą jaszczurkę, wyciągnął rękę i szybko zmienił temat:

- A co to za stworzenie? Miniaturowy triceratops?

- To tak zwana ropucha rogata. - Carly zaśmiała się. - Lepiej uważaj, bo podobno pluje krwią, a jeśli trafi cię w oko, to oślepniesz.

Luc błyskawicznie wyjął z kieszeni okulary i wsunął je na nos.

- Czy teraz jestem bezpieczny?

Rozciągnęła wargi w uśmiechu, a Luc pomyślał, że Carly ma niezwykle seksowne usta.

- Jak najbardziej. Kiedy byłam dzieckiem, marzyłam o psie, ale rodzice nie chcieli się zgodzić. Pewnego dnia znalazłam taką jaszczurkę w łóżku mamy. Nazwałam ją Albert Einstein, bo była bardzo inteligentna. Nauczyłam ją udawać martwą, gdy mama wchodziła do pokoju, i... - Urwała nagle i zaczerwieniła się.
- Przepraszam, nie chcę cię nudzić.

- Wprost przeciwnie. Opowieść o jaszczurce, która nazywa się Albert Einstein, musi być ciekawa. - Carly fascynowała go coraz bardziej. Wyobraził ją sobie jako małą dziewczynkę z podrapanymi kolanami i wielkimi oczami. Miała piękne oczy, ciemne, o kształcie migdałów. - My zawsze mieliśmy w domu dużo zwierząt, można powiedzieć, że całą menażerię. Ulubienicą mojego brata była papuga, która umiała zagwizdać całą V Symfonię Beethovena.

- Zmyślasz, bo chcesz mnie rozbawić.

- Skąd, to szczerą prawdą. Philippe bardzo długo ją tego uczył. Spędzał z tą papugą więcej czasu niż ze mną.

Patrzyła zafascynowana na Luca i nawet nie zauważyła, że na jej ramieniu wylądował duży konik polny. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie i łagodnie.

- Bardzo brakuje ci brata, prawda?

Luc odwrócił wzrok. Jakże chciałby pogodzić się z tym, co już nigdy się nie odwróci.

- Tak, bardzo. Myślę o nim nieustannie. - Spojrzał na dwie mieniające się w słońcu ważki, które wzleciały do nieba. Były równie piękne i kruche jak ludzkie życie.

- Opowiedz mi o nim.

Spojrzał na nią z namysłem, a potem powiedział:

- To bardzo trudne. Ja i moi bliscy nie lubimy o tym rozmawiać. - To prawda, ale czasami tak bardzo chciałby otworzyć przed kimś serce.

- Szkoda - powiedziała łagodnie.

Chętnie dałby upust swym prawdziwym uczuciom, lecz nauczono go ukrywać cierpienie. Właśnie takiej postawy wymagano od członka królewskiej rodziny. Nawet w najgorszym okresie, tuż po śmierci brata, gdy tabloidy podsycały niesmaczne plotki, dwór zachował milczenie. Tylko jego siostra płakała i krzyczała, jakby postradała rozum. Zazdrościł jej tego.

- Kiedy ja i moja siostra byłyśmy małe, bez przerwy pakowałyśmy się w kłopoty i strasznie rozrabiałyśmy. Opowiedz mi o jakiejś śmiesznej przygodzie Philippe'a.

A zatem Carly nie zamierzała ustąpić. Właściwie nie miał jej tego za złe. Była miła i szczerą. Z jej strony nic mu nie zagrażało.

Przypomniawszy sobie wszystkie wspaniałe chwile, które spędził z bratem. Najśmieszniejsza przygoda przytrafiła im się na nartach, ale opowieść o tym zdarzeniu była zbyt bolesna.

- Mieliśmy wtedy jedenaście i dwanaście lat. Jeden z dworzan... - Niestety za późno ugryzł się w język. Zerknął ukradkiem na Carly, ale ponieważ milczała, opowiadał dalej: - Jeden z pracowników mojego ojca bardzo nie lubił dzieci. Oczywiście często mu dokuczaliśmy.

- Jasne. - Nachyliła się w siodle. - Mów dalej. Co zrobiliście temu biednemu facetowi?

- Był jednym z naszych nauczycieli. Dbał o nasz rozwój duchowy. Miał trudne zadanie, bo nie wiedział, jak nas przekonać, że spektakle operowe i wizyty w muzeum są równie ważne, jak jazda na kucyku.

- Bardzo mu dokuczaliście? - spytała rozbawiona.

- Philippe nie, był bardzo spokojny, natomiast ja... - Wzruszył ramionami.

- Byłeś niegrzecznym chłopcem tak?

- Ten nauczyciel nieustannie nas kontrolował, był bardzo wymagający, zwłaszcza w stosunku do Philippe'a.

I rzeczywiście tak to wyglądało. Arturo cały zapalał wychowawczy skierował na Philippe'a, a Luca niemal ignorował.

- Skoro twój brat był taki spokojny i greczny, to dlaczego wasz nauczyciel traktował go bardziej surowo niż ciebie?

Jak miał jej wytłumaczyć, że życie i nauka następcy tronu bardzo różni się od życia zwykłych dzieci, choćby i noszących książęcy tytuł.

- Bo to on, jako starszy syn, miał w przyszłości przejąć rodzinny interes. Nauczyciel przygotowywał go do przyszłych obowiązków i dbał o jego rozwój. Artie wykonał kawał dobrej pracy, ale był perfekcjonistą i od nas wymagał tego samego.

- Ty na pewno świetnie sobie radziłeś i dlatego skoncentrował się na Philippie.

- Niezupełnie. - Luc zawsze sprawiał kłopoty. Był nieposłuszny i uparty. O ile Philippe okazał się wychowawczym sukcesem Artiego, Luc został zapewne uznany za największą porażkę. - Mój brat skorzystał na tych lekcjach o wiele więcej niż ja. Był spokojny, lubił się uczyć, a przede wszystkim unikał wszelkich kłopotów. Artie kontrolował również naszą dietę, bo Philippe bardzo lubił łakocie.

Dziennikarze z właściwym sobie okrucieństwem nazwali kiedyś Philippe'a „tłustym książątkiem”. Arturo wykorzystał ten artykuł, by namówić księcia do zrezygnowania z częstych przekąsek.

- Chyba niezbyt miło wspominasz ten okres.

- Skąd wiesz?

- Wystarczy spojrzeć na twoją minę.

- Tak, nienawidziliśmy tej tresury. Planowaliśmy zemstę, chociaż to ja zawsze byłem prowodyrem, a Philippe tym rozsądnym. - Jednak po początkowych protestach brat zawsze dawał się namówić do złego, a nawet robił użytek z własnej wyobraźni. Luc musiał przyznać, że pomysły Philippe'a były o wiele bardziej wyrafinowane.

- A zatem byłeś buntownikiem?

- Nie, to byłaby przesada. Po prostu nie zawsze słuchałem poleceń. - Arturo często nazywał go „diabelskim nasieniem”, co zresztą napawało Luca dumą. - Pewnego dnia przysłano duże pudło bardzo drogiej czekoladek. Nasz nauczyciel dostał je w prezencie od jakiegoś ważnego klienta.

- I co zrobiliście? - spytała rozbawiona. - Zjedliście wszystko?

- Oczywiście. - Wciąż widział roześmianego Philippe'a pobudzającego czekoladą. To było jedno jego z najmiłszych wspomnień. - Ale to nie wszystko.

- To mi się podoba. Sama bym tak zrobiła.

- Każdy z nas miał swojego kucyka. Zamieniliśmy czekoladki na... jak by to delikatnie powiedzieć...

- My mówimy na to „końskie jabłuszka”. - Zachichotała. - Tylko mi nie mów, że jedno zjadł.

- No cóż, próbował.

Historyjka o śpiewającej papudze bardzo ją rozbawiła, a teraz śmiała się do łez. Luc również.

To była miła odmiana, bo dotychczas wspomnieniom o bracie towarzyszył dojmujący ból. Zdumiewające, jak tragiczne wydarzenia przesłaniają nam przeżyte chwile szczęścia, pomyślał. To dzięki Carly zaczął wspominać również te przyjemne rzeczy.

Carly. Był nią coraz bardziej oczarowany, chociaż zapewne księżę Broussard nigdy nie zaaprobowałby takiej kobiety u boku następcy tronu.

Jej koń potknął się nagle i Carly przechyliła się na bok. Na szczęście Luc zdążył ją podtrzymać.

- Wszystko w porządku, nic mi nie jest - powiedziała szybko, ale Luc zauważył, że trochę się przestraszyła.

- Tak, jesteś w porządku - powiedział takim tonem, że zabrzmiało to dwuznacznie. - Jesteś też bardzo miła.

Działo się coś dziwnego, jakby ktoś rzucił na nich czar. Luc nie był w stanie oderwać dłoni od ciepłych, nagranych słońcem pleców Carly.

Powietrze jakby zastygło.

Wokół przejeżdżali inni jeźdźcy, pobrzmiwał chór stłumionych głosów, koniki polne koncertowały tak głośno, że aż świdrowało w uszach.

Luc zastanawiał się gorączkowo, co się z nim dzieje. Bicie jego serca było równie głośne, jak stukot końskich kopyt.

- Luc? - spytała zaniepokojona.

W tym samym czasie ktoś inny zawołał go po imieniu. O wiele głośniejszym, tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Luc, poczeka!

Niechętnie cofnął rękę z pleców Carly i rozejrzał się wokół. No tak, Pammie Wilson.

Czarowny nastrój prysł. Luc, tak jak reszta jeźdźców, zatrzymał konia. Zeus opuścił łeb i zaczął skubać trawę.

Luc z trudem koncentrował się na słowach Pammie.

- Pod podkową mojego konia chyba utkwiał kamień. Czy mógłbyś to sprawdzić?

- Oczywiście - odparł grzecznie, chociaż nie rozumiał, dlaczego Pammie zwraca się z tym właśnie do niego, skoro wokół aż roiło się od pracowników rancza.

Minęła ich szybko grupa kowboi, która okrążała małe stado muczących cieląt i krów, które zabrano po drodze z pastwisk.

Podjechał do nich Dirk, zsiadł z konia i kucnął obok Luca.

- I co z tym kamieniem? - spytał.

- Nic nie widzę, ale może ty zobacz - odparł Luc.

- Ja też nic nie widzę - stwierdził Dirk po dokładnych oględzinach kopyta.

- On naprawdę okulał - upierała się Pammie. - Nie powinnam już dłużej go dosiadać, bo to może się źle dla niego skończyć.

- To może być uraz pęciny - stwierdził Dirk.

Luc uważał, że lepiej dmuchać na zimne. Dobre konie były bardzo drogie, a ich ułożenie zajmowało dużo czasu. Lepiej nie narażać Carsona na taką stratę.

- W takim razie może lepiej odesłać tego konia na ranczo i ściągnąć innego dla Pammie.

- Jasne, ale panna Wilson nie może przecież iść na piechotę.

Ku niezadowoleniu Luca Pammie uśmiechnęła się słodko i oznajmiła:

- Nie ma problemu, pojedę z Lukiem. Zeus jest silny, udźwignie nas oboje.

Bez słowa dosiadł wierzchowca i podał Pammie rękę. Gdy usadowiła się za nim, spojrzał na Carly. Szybko odwróciła wzrok, ale i tak zauważył w jej oczach cień niezadowolenia.

Pammie objęła go ramionami i przytuliła się do jego pleców.

- No, teraz jest dobrze - powiedziała z zadowoleniem. Luc mruknął coś w odpowiedzi, bo pochłaniały go myśli o Carly.

Gdy ich konie się zrównały, spojrzała na niego zdziwiona i uniosła brwi. Luc nachylił się i włożył jej na głowę swój kapelusz. Odjechał szybko z przyczepioną jak kleszcz do jego pleców Pammie.

Carly gwałtownym, ruchem poprawiła kapelusz i z trudem powstrzymała się przed pokazaniem języka znikającej parze. To byłoby dziecinne zachowanie,

ale z pewnością przyniosłoby jej ulgę. Lepiej pogodzić się z losem, przyjąć z pokorą fatum. Luc tylko miło z nią rozmawiał, nie zaprosił jej na randkę. Tak, wszyscy faceci uwielbiali z nią gadać, ale na tym się kończyło.

A niech to! Czasami zachowywała się jak ostatnia idiotka.

Kapelusz Luca był na nią stanowczo za duży i bez przerwy opadał jej na oczy.

Mężczyźni są beznadziejni. Większość z nich dawała się nabrać na sztuczki takich kobiet jak Pammie Wilson. Po prostu uśmiechali się i podejmowali grę.

Carly nie była w tym dobra, dlatego zawsze traktowali ją jak kumpla. Nie znała się na sztuce uwodzenia, bo nigdy nie była tym zainteresowana.

Tina Osborne, która jechała u jej boku, spytała:

- Widziałas, jak ta źmija na ciebie spojrzała?

Jasne, że widziała. Widziała również, jak Pammie obejmuje Luca. Ta flirciara miała czelność włożyć mu rękę za pasek. W dodatku Luc zachowywał się wobec niej bardzo opiekuńczo.

Cholera!

Nie była zazdrosna o piękną Pammie. No, może troszeczkę, chociaż nie miało to sensu. Luc był poza jej zasięgiem, prawdopodobnie również poza zasięgiem Pammie. Jednak pannie Wilson nie można było odmówić urody i uroku. Siedziała w siodle z gracją, nie podskakiwała niczym piłeczka. Pammie miała też wydatny biust, co z pewnością zostało zauważone przez wszystkich kowboi.

- Zmrużyła oczy, bo raziło ją słońce - odparła Carly.

- Mogę się postarać, żeby spadła z konia - zaproponowała Tina.

- Nie zrobiłabyś tego, prawda? - spytała Carly i od razu się zawstydziała, bo pomysł nastolatki bardzo przypadł jej do gustu.

- Jasne. Byłoby zabawnie.

- Tylko nie przestrasz krów. - Carly zachichotała.

- Spróbuję. - Tina wzruszyła ramionami.

Zanim dojechały do Big Creek, Tina zdążyła opowiedzieć jej o chłopcach, ulubionej muzyce i najmodniejszych ciuchach.

Carly słuchała jednym uchem, bo wciąż pamiętała, że ma pracę do wykonania. Nie leniła się, zrobiła sporo zdjęć Luca i jego współpasażerki. By nie wzbudzać podejrzeń, fotografowała wszystko i wszystkich. Książę Broussard powinien być zadowolony z wyników jej śledztwa.

Zsunęła kapelusz i podążyła za stadem do ocienionego miejsca przy strumieniu. Marzyła o odpoczynku.

- Umieram z głodu - oznajmiła Tina, zeskoczyła z konia i podała wodze jednemu z kowboi.

- Ja też - przyznała Carly, ześlizgnęła się ze Stormy'ego i rozejrzała wokół. Była obolała, a jej zeszywniałe mięśnie domagały się ruchu. - Zaproponuję pomoc kucharzowi, może wtedy szybciej zjemy.

- Dzięki, to nie dla mnie. - Tina skrzywiła się. Spojrzała na Luca, który właśnie pomagał zsiąść z konia. - Jak myślisz, może powinnam wepchnąć ją do strumienia?

- I zatruć wodę? - Carly uniosła aparat i zrobiła zdjęcie, uwieczniając moment, kiedy Pammie opierała się wdzięcznie o szeroka pierś Luca.

- Łatwo ją przejrzeć. Żałosne. - Tina nagle przemówiła jak dojrzała kobieta. - O rany, Dirk na nas patrzy. Pójdę zapytać, czy nie potrzebuje pomocy. Zobaczymy się później. - Niedbale pomachała na pożegnanie.

Carly przeciągnęła się. Powinna oddać Lucowi kapelusz, ale nie teraz, kiedy dopadła go ta modliszka.

Zostawiła Stormy'ego pod opieką jednego z kowboi i podeszła do wozu z zaopatrzeniem.

Pojazd zatrzymał się na dużej otwartej przestrzeni, oddzielonej od strumienia potężnymi dębami i wierzbami płaczącymi.

- Może w czymś pomóc?

Młody kowboj, wyjmujący prowiant z wozu, odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Dziękuję, proszę pani. Pomoc by się przydała.

Miał bardzo szczupłą, niemal kościstą twarz, ale piękne szare oczy.

- Powiedz mi, co mam robić? - Zauważyła, że Luc i Pammie stoją w cieniu dorodnego dębu i rozmawiają z ożywieniem. Postanowiła więc nie spoglądać w tamtą stronę.

- Potrzebuję drewna na opał.

- Już się robi. - Dostrzegła przy strumieniu i pod drzewami sporo chrustu. Na wszelki wypadek zostawiła aparat w wozie i ruszyła w tamtym kierunku.

- Uważaj na węże! - krzyknął do niej Luc.

Carly zamarła w pół kroku. Bardzo powoli odwróciła się w stronę Luca.

- Co takiego? Węże?

Pammie roześmiała się. Ten dźwięk wydał się Carly równie przyjemny, jak skrzypienie starych zawiasów.

- Proszę włożyć rękawiczki - krzyknął kucharz i wyciągnął z wozu wielki poczerńiały kocioł. - Wtedy będzie pani bezpieczna.

- O rany, ale mnie pocieszyłeś - mruknęła Carly i wciągnęła skórzane rękawiczki. Szkoda, że nie są dłuższe, pomyślała ponuro.

- Biwakujemy tu tak często, że na pewno przepędziliśmy już wszystkie węże - uspokoił ją kowboj.

- Jasne, znalazł się zaklinacz węży - mruknęła.

Jej sarkastyczna uwaga wywołała śmiech zarówno u Luca, jak i kucharza. Natomiast Pammie skrzywiła się, wyraźnie zdegustowana.

Carly była zbyt głodna, by przejmować się zarówno węzami, jak i jadowitą Pammie. Nasunęła kapelusz na czoło i ruszyła do pracy. Jeśli Luc chciał go dostać z powrotem, doskonale wiedział, gdzie jej szukać.

Przygotowanie posiłku trwało znacznie krócej, niż się spodziewała, i po niedługim czasie w powietrzu rozniósł się cudowny aromat wieprzowego

gulaszu i pieczonych ziemniaków. Kucharz uderzył metalową pałeczką w staromodny triangel i zawołał:

- Kolacja gotowa!

Przy ognisku natychmiast zrobiło się bardzo rojno. Carly nałożyła na talerz mnóstwo jedzenia i rozejrzała się, gdzie najlepiej usiąść. Przy ognisku leżało wprawdzie kilka pni, ale było tam zbyt gorąco. Ruszyła wzdłuż strumienia i przysiadła na skałce. Inni wpadli na ten sam pomysł. Po chwili większość zdjęła buty i zanurzyła stopy w chłodnej wodzie.

Carly wdała się w miłą pogawędkę z Tiną i parą Illinois, podczas gdy panowie otoczyli wianuszkami Pammie. Świetnie, pomyślała Carly. Przynajmniej odczepiła się na chwilę od Luca.

Podczas gdy pozostali goście jedli, książe pomagał pracownikom zorganizować obozowisko. Kilka razy ich spojrzenia się spotkały, a wtedy głupie serce Carly aż śpiewało z radości.

Żałosne! Kiedy ona wreszcie zmądrzeje?

Ciemność przykrywała ziemię niczym gruby koc. Wszyscy byli zmęczeni i długo układali się do snu, szukając najwygodniejszych pozycji. Żabie trio wyśpiewywało rytmiczną piosenkę, od czasu do czasu zabzyczał zdesperowany komar, który pokonał barierę dymu i środków odstraszających. Księżyc był niemal żółty, a niebo połyskiwało gwiazdami.

Luc kucnął przy ognisku z dużym patykiem w ręku. Czekał, aż wypali się cały żar. Wiedział, jak szybko ogień ogarnia kolejne połacie prerii i wymyka się spod kontroli.

Reszta już zasnęła, tylko on i Carly byli jeszcze na nogach. Musiał przyznać szczerze, że zrobił wszystko, by pobyć z nią sam na sam. Nie wiedział, dlaczego. Lubił z nią rozmawiać. Kiedy wspominał Philippe'a i ich dziecięce żarty, poczuł ulgę.

- W Dallas nie widać tyłu gwiazd - powiedziała Carly. Siedziała na pniu. Wsparła brodę na dłoni i zapatrzyła się w niebo.

- Boisz się kojotów? - spytał cicho żartobliwym tonem.

- Nie - odparła, ale kiedy zobaczyła, że Luc unosi brwi, przyznała: - No, może trochę.

- Czy dlatego siedzisz przy ognisku? Wszyscy już śpią.

- Ty też nie śpisz. - Potrząsnęła głową. - Dlaczego?

- Mam sporo spraw do przemyślenia, a najlepiej myśli mi się w ciszy i spokoju.

- Ach, to przepraszam. - Wstała i otrzepała się. - W takim razie zostawię cię samego.

- Carly, poczekaj. - Było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć wyraz jego twarzy. - Przepraszam, nie odchodź. - Zależało mu na jej towarzystwie, ale wolał nie myśleć, dlaczego.

- Nie będę ci przeszkadzać.

- Zostań. - Rozległ się jakiś szelest, a potem Luc dodał: - Upiekę dla ciebie piankę. - Nabiał cukierek na patyk i przybliżył do żaru.

Uśmiechnęła się i wróciła do ogniska.

- Masz coś ważnego do przemyślenia, prawdą?

- Wiele rzeczy. - Zwłaszcza jedną sprawę, o której nie mógł porozmawiać nawet z serdeczną i miłą Carly.

- Czy mówienie o bracie wciąż cię zasmuca?

- Nie - odparł niezgodnie z prawdą.

Gdzieś z ciemności dobiegło żalosne muczenie cielątka, a potem odpowiedź jego matki. Samotna iskra wyskoczyła z ogniska i poszybowała na trawę, ale Luc szybko zdusił ją butem. Potem usiadł obok Carly.

- Ja to zrobię. - Wyciągnęła rękę po patyk, na który nabite były piankowe cukierki.

- Skarbie, w tej dziedzinie mógłbym zostać szefem kuchni. Nie poprawiaj mistrza.

- W porządku, szefie, ale pod warunkiem, że powiesz mi, co cię gryzie. - Wyciągnęła nogi i ujęła się pod boki.

- Umiem słuchać.

Rzeczywiście umiała. Była w tym aż za dobra, a przez to niebezpieczna, jednak gdy porozmawiał z nią o Philippie, poczuł wielką ulgę. Jeśli znał się na mowie ciała, to Carly teraz zachęcała go do zwierzeń i przekonywała, że można jej zaufać. Nie umiał się jej oprzeć.

Przez chwilę spoglądał w żar ogniska i zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji. Jeśli będzie mówił o monarchii, jakby był to biznes, chyba nie zdradzi zbyt wiele.

- Mamy kłopot z rodzinną firmą - powiedział wreszcie. W sumie nie było to zbyt odległe od prawdy, bo przecież rządzenie państwem to trudny i poważny biznes.

- Jakiego rodzaju kłopoty? Finansowe?

- Nie, chociaż zawsze mogłoby być lepiej.

- No to o co chodzi? - Patrzyła na niego uważnie.

- To mój brat miał przejąć zarząd nad naszą firmą, ale teraz ten obowiązek spadł na mnie.

- Dlaczego uważasz, że to problem?

Spojrzał na nią bez słowa, bo wiedział instynktownie, że go zrozumie. I nie zawiódł się.

- Ach tak. - Przysunęła się do niego. - Byłeś niegrzecznym chłopcem, który nie uważał na lekcjach, a teraz boisz się, że nie sprostasz zadaniu.

- Philippe od dziecka był przygotowywany do tej roli, to on miał zostać...

- Przez chwilę zastanawiał się przed doborem właściwego słowa, by nie zdradzić zbyt wiele. - Mój ojciec wyznaczył na następcę Philippe'a. Brat idealnie nadawał się do tej roli, a ja nie za bardzo.

W ognisku strzeliła iskierka, w górę poszybowała smużka dymu. Zapach drewna hikorowego mieszał się z zapachem karmelizujących się cukierków. Carly siedziała tak blisko Luca, że słyszał jej spokojny oddech i czuł ciepło jej ciała.

- No dobrze, rozumiem twój punkt widzenia. Czy twój ojciec jest dobrym szefem?

- Najlepszym, jednak Philippe godnie by go zastąpił, gdy ojciec już wycofa się z interesów. - Co niestety nastąpi już wkrótce.

- W porządku. No to podsumujmy. Twój ojciec świetnie sobie radzi, a brat godnie by go zastąpił. Dlaczego zatem uważasz, że ty się do tego nie nadajesz?

Gwałtownie potrząsnął głową.

Dlaczego? Po prostu nie był Philippe'em. Młodszy syn, niepokorny książę, jak mówił o nim nie tylko książę Broussard.

- Niektóre osoby w firmie nie wierzą, że sobie poradzę - odparł wreszcie.

- Czy dałeś im powody, by w ciebie zwątpili?

- Nie. - Wzruszył ramionami i odsunął patyk od ogniska. - Owszem, może kiedy byłem młodszy i głupszy, ale po śmierci Philippe'a bardzo się zmieniłem. Uważaj, są gorące - ostrzegł Carly, gdy sięgnęła po przypieczoną piankę.

Nie przejęła się tym zbytnio, ściągnęła cukierek z patyka i dokładnie obejrzała.

- Idealnie przypieczony, naprawdę jesteś mistrzem.

- Dziękuję, szanowna pani. Jestem człowiekiem wielu talentów.

- To prawda. - Włożyła piankę do ust. - Mmm, pyszne. Luc nie mógł oderwać oczu od jej warg. Było jeszcze gorzej, gdy zaczęła oblizywać pobrudzone palce.

- Studiowałeś zarządzanie? - spytała.

- Co takiego? - Zamrugnął i zmusił się, by odwrócić wzrok. Rozmawiał z nią na bardzo poważne tematy, a zachowywał się jak niedojrzały nastolatek. - Oczywiście, znam się na tym.

- Zamierzasz ciężko pracować, dać z siebie jak najwięcej? Zrobić wszystko, by firma kwitła?

- Tak. Mam wiele pomysłów i planów, które powinny przysporzyć nam dużo zysków.

- Nie rozumiem więc, czym się martwisz. Trochę cię poznałam i wiem, że jesteś bystry, dobrze wykształcony i nie boisz się ciężkiej pracy. Ludzie słuchają tego, co mówisz, masz cechy przywódcy. W dodatku jesteś przystojny.

Luc nabił na patyk kolejne pianki i zastanowił się nad słowami Carly.

Czy miała rację? Oby. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że pragnie być królem.

Powinien podziękować za to Carly, bo natchnęła go otuchą i wlała w jego serce nadzieję.

- Naprawdę są dobre - mruknął, zajadając pianki.

- Tak, a ja znam szefa kuchni. - Uśmiechnęła się. Do jej warg przyłgnęły drobinki cukru.

Patrzył na nią jak urzeczony. Gdy to zauważyła, zapytała:

- Czy mam na...

- Tak - odparł szybko, a gdy uniosła dłoń, przytrzymał ją za nadgarstek. - Pozwól.

Nie zamierzał zrobić nic szalonego. Nie mógł przestać myśleć o tym, jak bardzo pomogła mu rozmowa z Carly.

Nie mógł też przestać myśleć o jej cudownych, zmysłowych ustach.

Miała taką ciepłą i gładką dłoń, podczas gdy on nabawił się na ranczu odcisków.

Carly siedziała bardzo spokojnie. Nic nie mówiła. Jej lekki oddech muskał mu twarz.

Luc toczył wewnętrzną walkę. Nie chciał poddać się uczuciu, które wydawało mu się bezsensowne. To prawda, Carly umiała słuchać, a on lubił z nią rozmawiać, ale to wszystko. Nie była odpowiednią kobietą dla następcy tronu.

Jednak w tej chwili nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

Patrząc Carly prosto w oczy, uniósł jej dłoń do ust, a potem delikatnie polizał palce.

Zamknęła oczy. Oddychała coraz szybciej.

Kiedy westchnęła, nie zdołał nad sobą zapanować. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować.

Smakowała tak słodko, jak sobie wyobrażał. Gdy mruknęła cicho, pogłębił pocałunek.

Nagle Carly zeszywniała. Odsunął się od niej, a potem opadł przed nią na kolana. Wyglądała na bardzo przestraszona.

Zaszokowany własnym zachowaniem, szepnął:

- Przebacz mi, Carly. Nie powinienem tego robić.

- Nie o to chodzi. - Wpiła mu palce w ramię. - Zobacz. Wóz z zaopatrzeniem stanął w ogniu!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Żarłoczne języki ognia pochłaniały płócienne boki wozu. Wciąż nieco oszołomiona pocałunkiem Carly zerwała się na równe nogi i pobiegła w tamtym kierunku.

- Carly! Nie zbliżaj się tam! - Luc objął ją mocno ramieniem.

- Zostawiłam aparat w wozie.

- Trudno. Kupisz nowy.

Łatwo mu powiedzieć. Od tych zdjęć zależała jej kariera, jej życie. A teraz wszystko diabli wzięli. Wywinęła się z jego objęć.

- Pobiegnę po wodę.

- Najpierw trzeba obudzić kowboi - odparł, a potem pobiegł w stronę płonącego wozu.

- Luc! - zawołała za nim, choć wiedziała, że to nie ma sensu.

Zareagował jak przywódca, jakby był do tego stworzony. Nie zważał na ryzyko. Jak niewiele o sobie wiedział, pomyślała, przypominając sobie jego wątpliwości.

Pobiegła w stronę drzew, wypatrując w ciemności śpiworów. Włożyła palce w usta i gwizdnęła przeraźliwie.

- Pali się! - krzyknęła.

Kowboje zerwali się natychmiast. Goście budzili się powoli, przestraszeni i zdezorientowani.

- Co się dzieje? - padały pytania.

- Pali się wóz z prowiantem! - krzyknęła Carly i nie tracąc więcej czasu, doskoczyła do ogniska, chwyciła największy rondel i pobiegła do strumienia.

- Zmoczcie koce! - krzyknął Luc.

Carly zobaczyła, że usiłuje zdusić płomień śpiworem. Wkrótce dołączyli do niego kowboje.

Konie, zdenerwowane dymem i zamieszaniem, zaczęły rzeć. Wkrótce zawtórowało im muczenie przestraszonych krów.

Carly włożyła kilka derek do wielkiego gara i zalała wodą. Po raz pierwszy była zadowolona ze swego wzrostu. Bez trudu doniosła ciężkie mokre koce do płonącego wozu.

Ledwie stanęła przy linii ognia, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

- Ja to wezmę - powiedział Luc.

Podał mokre koce kowbojom. Dookoła unosił się smród spalonej wełny.

Wydawało się, że Luc potrafi być w kilku miejscach naraz. Organizował całą akcję, wydawał rozkazy, a ludzie go słuchali.

- Dirk, sprawdź, czy nie zajęła się trawa. Jack, odprowadź konie trochę dalej, Heck, pomóż mi. Reszta niech napełnia wszystkie naczynia wodą.

Był gościem Carsonów, a jednak ofiarnie gasił pożar. Nie okazywał lęku, nie zachowywał się jak rozpieszczone książątko.

A jeśli zostanie ranny? Książę Broussard na pewno nie byłby zadowolony.

Luc powinien się wycofać, kowboje na pewno sobie poradzą. Jednak Carly dobrze wiedziała, że nie zdoła go przekonać, bo i tak zrobi to, co uzna za słuszne.

Chociaż już bolały ją ramiona, wciąż nosiła wodę ze strumienia. W pewnym momencie zauważyła, że Dirk niespokojnie krąży wokół wozu.

- Gdzie jest Willie? - Czerwona łuna jeszcze bardziej podkreślała strach widoczny na jego twarzy. - Czy ktoś widział Williego?

Niestety, nikt nie miał pojęcia, gdzie podziewa się młody kucharz.

Ugaszono już przód wozu, lecz z drugiej strony wciąż wydobywał się gęsty dym.

- Och, mój Boże! - krzyknęła jedna z kobiet. - Musi być w środku.

Wszyscy spojrzeli przerażeni na płonący wóz. Jedno z żeber spadło z łoskotem na ziemię, iskry wyskoczyły wysoko w niebo.

Carly struchlała z przerażenia. Zamiast pomyśleć o kucharzu, martwiła się o aparat. Niestety nikomu nie przyszło do głowy, że Willie będzie spał w wozie.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Luc namoczył poszewkę poduszki w kotle z wodą, owinał nią twarz i wskoczył do wozu.

- Luc, nie! - krzyknęła Carly i chciała pobiec za nim, ale Dirk i Heck natychmiast ją przytrzymali.

Luc zniknął w kłębach dymu.

- Proszę tu zostać - poprosił Dirk. - Nic pani nie może zrobić.

Płócienny dach wozu już spłonął. Drewniany szkielet trzeszczał, płomienie sięgały kół.

Carly łzawiły oczy, dym utrudniał oddychanie, bolało ją gardło.

Opanował ją strach, niczym żywa istota zżerał jej duszę i mózg.

Zaledwie przed chwilą Luc ją całował, a teraz był w niebezpieczeństwie.

Płynęły sekundy, a potem minuty.

Carly wiedziała, że powinna pobiec po wodę, dalej walczyć z płomieniami, ale nie mogła się ruszyć. Nie teraz. Teraz ważny był tylko Luc.

Przycisnęła drżącą dłoń do ust. Słodki smak pianek i pocałunku Luca zamienił się w dym i popiół.

Nagle z ciemnych kłębow dymu wyłoniły się dwie postaci.

- Luc! - krzyknęła. Dzięki ci, Boże. Trzęsły jej się kolana, ale udało jej się ustać na nogach. Luc był silny, ona też musi okazać hart ducha. Nie czas na histerię.

Dirk podbiegła do Luca i pomógł mu podtrzymać Williego. Młody kowboj zakaszłał chrapliwie.

- On potrzebuje powietrza - powiedział Luc.

Pan Osborne pomógł doprowadzić Williego do strumienia, gdzie zajęła się nim pani Osborne. Pozostali znów zaczęli gasić ogień.

Luc ciężko usiadł na ziemi. Oparł ręce na kolanach i odchylił głowę, gwałtownie chwytając powietrze. Miał brudną twarz, zaczerwienione oczy i kompletnie zniszczone ubranie. Według Carly wyglądał fantastycznie.

Następnego dnia rano, kiedy Carly zasiadła do spóźnionego śniadania, w jadalni aż huczało od rozmów. Wszyscy wspominali walkę z ogniem i bohaterski wyczyn Luca.

Carly zamierzała spać co najmniej do południa, ale prawie nie zmrużyła oka. Koło północy goście zostali przewiezieni na rancho. Zmęczona, wspominała niedawne zdarzenia. Sceny pojawiały się niby ujęcia ze starych filmów. Pocałunek. Pożar. Strach. Obawa, że straci coś, co tak naprawdę wcale do niej nie należało. Niegrzeczny książę, który wcale nie był niegrzeczny. Prawdziwy bohater, tak bardzo niedostępny, że musiałaby postradać zmysły, by nadal o nim marzyć.

Już dawno przeboleła stratę aparatu fotograficznego. Dziękowała Bogu, że nikt nie został ranny.

Dostała nauczkę i na przyszłość będzie uważać, gdzie kładzie drogi sprzęt. Lubiła tego canona, ale trudno.

Westchnęła i osunęła się na krzesło obok Tiny Osborne. Dość tego marudzenia, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Krzesła, które zazwyczaj zajmowali Luc oraz Carson i Teddi Benedictowie pozostały puste.

Carly poczuła rozczarowanie. To głupie, ale nic na to nie mogła poradzić. Chciała zobaczyć Luca, by upewnić się, że nic mu się nie stało, a potem zatonać w jego błękitnych oczach.

Nieustannie wspominała ich pocałunek. Przez krótką chwilę poczuła się wtedy jak księżniczka z bajki, jak Kopciuszek. Uwierzyła w niemożliwe, ale potem wybuchł pożar i szybko wróciła do rzeczywistości.

Zresztą pocałunek Luca był zapewne wyrazem przyjaźni lub zwykłej sympatii. On jej nie pożądał ani nie kochał.

Wstrząsnął nią lekki dreszcz. Miłość? Skąd jej to przyszło do głowy. Czy to możliwe, że wystarczył jeden pocałunek, by zakochała się w przystojnym księciu? A może zareagowała tak emocjonalnie dlatego, że zbyt długo koncentrowała się wyłącznie na pracy?

Gdy sięgnęła po dzbanek z kawą, przewróciła solniczkę. Zawstydzona szybko ją znów postawiła i nalała sobie filiżankę gorącej, aromatycznej kawy. Pierwszy łyk kofeiny wprowadził nieco porządku w chaotyczne myśli. Nagle rozważania o Lucu wydały się jej śmieszne. Nie wolno jej było zakochać się w księciu. Musi myśleć o swojej karierze. Sprawa Luca przyniesie jej sławę. Wróci do Dallas w glorii świetnego detektywa. Może nawet zechce nawiązać z nią współpracę któraś z ogólnokrajowych gazet.

Pora zacząć myśleć głową, a nie sercem. Wywiąże się jak najlepiej ze zlecenia dla księcia Broussarda. Od tej chwili będzie trzymać emocje na wodzy.

- Gdzie się wszyscy podziewają?

- Wszyscy czy Luc? - spytała złośliwie Tina.

Carly tylko wzruszyła ramionami i zaczęła smarować grzanek dżemem.

- Czy ktoś wie, co z Williem?

- Wszystko w porządku, po prostu nałykał się dymu - odparł pan Osborne, pałaszując naleśniki. Chyba nie przejmował się dietą, bo pomimo podwójnego podbródka niczego sobie nie odmawiał. - Jeszcze dzisiaj wypiszą go ze szpitala. Benedictowie właśnie są u niego.

- Recepcjonistka powiedziała mi, że pan Gardner też pojechał do szpitala

- dodała pani Osborne. - Podobno czuwał przy Williem całą noc.

- Och, zupełnie bym zapomniała. - Tina napiła się soku pomarańczowego.

- Wczoraj w nocy znalazłam twój aparat.

- Co takiego? Naprawdę?! - A zatem istniała szansa, że odzyska sprzęt i wszystkie zdjęcia, które zrobiła Lucowi.

Tina zmrużyła mocno wymalowane oczy.

- Czemu się tak wściekasz? Dopiero teraz sobie o tym przypomniałam. Znalazłam go w wozie i miałam ci oddać, ale byłaś lekko nieprzytomna i robiłaś maślane oczy do Luca. No a potem wynikła ta sprawa z Williem...

Odzyskanie aparatu było dla Carly jasnym znakiem, że powinna skoncentrować się na pracy i zapomnieć o pocałunkach. Można by pomyśleć, że z nikim się przedtem nie całowała.

- Tina, jestem twoją dłużniczką. - Poklepała ją po plecach. Naprawdę zaczynała lubić tę małolatę.

- Super, bo chciałam cię poprosić, żebyś mnie dzisiaj zabrała do miasta. Muszę, po prostu muszę iść na zakupy.

- Skąd wiesz, że jadę dzisiaj do miasta?

- Słyszałam, jak opowiadasz o tym swojemu kochasiowi przy ognisku. Co jeszcze widziała lub słyszała, Carly aż bała się zapytać.

- On nie jest moim kochasiem - odparła, choć w głębi duszy bardzo by tego pragnęła.

- Nieważne. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, tylko obiecaj, że nie będziesz się wściekać.

Carly upiła kolejny łyk kawy, by lepiej znieść zapewne złą nowinę.

- Wiesz, kiedy szalał ten pożar, doszłam do wniosku, że mogłabym zrobić kilka zdjęć. Nie jesteś na mnie zła?

Carly najchętniej krzyknęłaby z radości. Nie tylko odzyskała aparat, ale też prześle księciu Broussardowi świetny materiał.

Księżę chyba nie będzie zadowolony, że Luc wystawił się na niebezpieczeństwo. Jednak ona miała tylko składać raporty na temat jego poczynań, a nie cenzurować prawdę.

- Świetnie. Oczywiście zabiorę cię do miasta, ale spytaj o zgodę rodziców. Ja też muszę iść na zakupy. Potrzebuję nowych butów.

Czy naprawdę to powiedziała? Zamierzała kupić ładne buty?

Odłożyła na wpół zjedzony naleśnik z takim niesmakiem, jakby to była trucizna.

Smutne, ale prawdziwe. Oto pechowa Carly, która jak ognia unikała chodzenia po sklepach, marzy o parze zgrabnych, seksownych bucików.

Do diabła, co się z nią dzieje?

Tina z emfazą przyłożyła dłoń do serca i jęknęła bliska ekstazy. Przed chwilą weszły do małego butików przy głównej ulicy Maribelli.

- Czy zawsze mdlejesz na widok torebek i modnych ciuchów? - spytała Carly ze śmiechem.

- Jasne, a ty nie? - Tina z lubością pogładziła kamizelkę z wełnianej żorżety.

- Zazwyczaj nie - odparła, chociaż musiała przyznać, że myśl o sprawieniu sobie nowej garderoby była nadzwyczaj przyjemna. Powinna też kupić kostium kąpielowy, bo na ranczu był basen.

Zaczęła wolno przechadzać się między wieszakami. Było tu mnóstwo ładnych i modnych topów, spodni, spódnic, dodatków, a także dużo różnych butów, ale ani jednej pary sportowych buciorów.

To był sklep, w którym Meg czułaby się jak ryba w wodzie. Carly unikała takich miejsc równie gorliwie, jak mali chłopcy unikają kąpieli. Zawsze uważała, że jest zbyt wysoka i niezgrabna, by nosić ładne ciuchy.

Jednak teraz z przyczyn nie do końca dla niej zrozumiałych usiadła na ławeczce przy półkach z butami i zdjęła ciężkie buciory. Tina zniknęła w przebieralni z naręczą ciuchów.

Uwagę Carly przykuły piękne czerwone szpilki. Hm, gdyby nie była taka wysoka...

Nie zdołała się oprzeć i przymierzyła buty.

- O rany - mruknęła, uważnie oglądając stopę. Ciekawe, jak do tego wyglądałaby bransoletka noszona na kostce.

Tina wynurzyła się z przymierzalni w obcisłym srebrnym topie.

- Co myślisz o... - Zerknęła na nogi Carly i krzyknęła: - Rany, jakie piękne! Musisz je kupić. Po prostu musisz.

Onieśmielona Carly wstała powoli. W tych szpilkach była o głowę wyższa od Tiny.

- Jestem za wysoka.

Tina obrzuciła ją spojrzeniem, które nastolatki rezerwują dla wyjątkowo niedorozwiniętych osobników.

- Co ty gadasz? Nie należy ukrywać wysokiego wzrostu, tylko go podkreślać, tak jak to robią supermodelki. Tylko spójrz na siebie. Masz piękne szczupłe stopy i wspaniałe nogi.

- Będę się w nich potykać. Zabiję siebie albo, co gorsza, kogoś innego.

- Nic podobnego. Chodzenie na obcasach wymaga praktyki. Dasz sobie radę.

- Jasne. Neurochirurgia też wymaga praktyki. Przeszła się jednak po dywaniku i o dziwo zdołała utrzymać się na nogach. Owszem, kilka razy się zachwiała, ale nie upadła. Szczerze mówiąc, poruszała się z większą gracją, niż w swoich buciorach. Coś niesamowitego!

- No tak, ale ja potrzebuję wygodnych butów, a nie szpilek.

- Ty przede wszystkim potrzebujesz pomocy - stwierdziła Tina tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie wiesz, jak się robi zakupy? Po prostu kup dwie pary butów. Jeśli chcesz, zrobię ci dziś pedikiur.

Carly nie była przekonana. Dysponowała ograniczonymi środkami i tak naprawdę w ogóle nie potrzebowała nowych butów.

- Proszę. - Tina podała jej parę pantofli na płaskim obcasie. - Przymierz te.

To było jakieś szaleństwo. Powinna jak najszybciej wyjść z tego sklepu.

Nie tylko nie wyszła, ale przez następną godzinę pod bacznym okiem Tiny przymierzała buty, bluzki, spódnice i kostiumy kąpielowe.

Kiedy wyszła z przymierzalni w sięgającej kolan rozkloszowanej spódnicy i szpilkach, po raz pierwszy w życiu poczuła się kobieco. Zabawne, ale jeden pocałunek księcia sprawił, że zaczęła zwracać uwagę na takie rzeczy.

- Rany, wyglądasz rewelacyjnie i bardzo seksownie! - krzyknęła Tina.

Carly zachichotała. Rzeczywiście czuła się seksownie. Czy to nie głupie?

Powinna trochę się opamiętać. Przymierzanie ciuchów było o wiele fajniejsze i zabawniejsze, niż się spodziewała. Jednak kupienie ich byłoby stratą czasu i pieniędzy. Jej siłą był intelekt, a nie uroda. Żaden mężczyzna się nią nie zachwyci, choćby paradowała w strojach od najlepszych projektantów.

Hm, Luc ją pocałował, to prawda, jednak emocje, które zobaczyła w jego oczach, musiały jej się przyśnić.

Weź się w garść, Carly.

Z niechęcią myślała o powrocie do starych ciuchów. No tak, koniec zabawy w księżniczkę. Właśnie szykowała się do wyjścia, gdy do sklepu weszli Carson i Teddi Benedictowie.

Hm, ciekawe, a dałaby sobie głowę uciąć, że Carson też unika zakupów jak ognia.

Rodzeństwo podeszło prosto do Carly.

- Zobaczyliśmy przed wejściem twój samochód. - Teddi uścisnęła ją serdecznie, rozsiewając zapach plumerii.

Carson chciał się upewnić, że dobrze się czujesz. Ta noc była dla nas wszystkich bardzo ciężka.

- To miło z waszej strony. Nic mi nie jest. - Owszem, nałykała się dymu, to wszystko. - Jak się miewa Willie?

- Dobrze. Już wypisali go ze szpitala. Rodzice zabrali go na kilka dni do domu.

- Cieszę się. Czy już wiadomo, co było przyczyną pożaru?

Teddi zerknęła na brata i odparła:

- Willie przyznał, że zasnął z papierosem.
- W wozie nie wolno palić. - Carson zachmurzył się.
- Trzeba przestrzegać reguł. Gdybyście nam nie pomogli, mogłoby być znacznie gorzej.

- Luc wszystkim się zajął - wyrwało się jej z głębi serca.
- Pozostali tylko słuchali jego poleceń.

Carson zachmurzył się jeszcze bardziej, a Carly dobrze wiedziała dlaczego. Następca tronu nie powinien być narażony na takie ryzyko.

- Z Lukiem wszystko w porządku, prawda? - zapytała.
- Odsypia wczorajszą noc - odparła Teddi. Nagle zauważyła strój Carly i szepnęła: - Wyglądasz bosko.

Carly nie zareagowała na komplement, bo pogrążyła się w marzeniach. Luc leży w łóżku. Jego muskularna klatka piersiowa unosi się i opada, złote loki rozsypane na poduszce. Co za kusząca wizja...

Podeszła do nich Tina w niezwykle kusych szortach, które nie tylko nie zakrywały pępka, ale nawet całych pośladków.

- Mówiłam jej, że wygląda wspaniale, ale nie chce mnie słuchać - poskarżyła się.

- Obawiam się, że w tej chwili nie mogę sobie pozwolić na takie zakupy. - Carly schyliła się, by zdjąć szpilki.

- Kup je. - Carson Benedict lekko dotknął jej ramienia.

- Słucham? - wyjąkała zaskoczona Carly.

- Kup te buty i spódnicę też. Ładnie wyglądasz, - Carson był prawdopodobnie jedynym mężczyzną na całej planecie, który wygłaszał komplementy tonem, jakim inni udzielali nagany. - Poproś, by dopisano to do mojego rachunku.

- Ależ nie ma mowy - odparła coraz bardziej zdumiona.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, by jakoś zrekompensować okropne przeżycia ostatniej nocy.

Okropne przeżycia? Ta była jedna z najpiękniejszych jej nocy, przynajmniej do czasu.

- Carly, zgódź się. - Teddi zrobiła błagalną minkę, a potem powiedziała scenicznym szeptem: - Carson rzadko bywa taki szczodry.

- Nie należy mi się żadna rekompensata. Sama kupię te rzeczy.

- Świetnie. - Ponury Carson obrócił się na pięcie i bez słowa ruszył do wyjścia.

Jego siostra bezradnie wzruszyła ramionami i poszła za nim. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze i pomachała na pożegnanie.

- To było dosyć dziwaczne przeżycie - stwierdziła Tina, obserwując oddalających się Benedictów.

Owszem, pomyślała Carly, idąc do przymierzalni. Carson i Teddi byli dość ekscentryczni, ale na razie nie zamierzała się tym zajmować. Może później przeświecili tę parę, gdy wykona zlecenie dla księcia Broussarda.

A właśnie, książę Broussard! Niemal zapomniała, jaki był prawdziwy cel jej wyprawy do miasta. Miała nadać przesyłkę, ale tak zajęła się przymierzaniem ciuchów i fantazjowaniem o przystojnym księciu, że mało brakowało, a zawiozłaby zdjęcia z powrotem na ranczo.

Swoją drogą to przygnębiające, że podczas wakacji będzie szpiegować mężczyznę, który tak ją odmienił. Dawna rozsądna i mądra Carly gdzieś zniknęła. Pojawiła się trzpiotka, która zachwycała się seksownymi szpilkami i zastanawiała się, jakim lakierem ma pomalować paznokcie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dzwonek telefonu wyrwał Luca z bardzo przyjemnego erotycznego snu. Postanowił zignorować natarczywy dźwięk i wrócić do krainy marzeń, ale wreszcie dał za wygraną. Podniósł słuchawkę i przycisnął do ucha.

- Halo - rzucił chrapliwie zaspanym głosem.

- Luc.

Ledwie usłyszał głos ojca, natychmiast oprzytomniał.

- Sir, czy coś się stało? - Wyplątał nogi z kołdry i usiadł.

- Szczerze mówiąc, chciałem cię zapytać dokładnie o to samo.

- Dlaczego? - spytał Luc spokojnie. Jego ojciec nie mógł jeszcze wiedzieć o pożarze. - Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

- Czy zechciałbyś się wypowiedzieć na temat dość szokujących fotografii, które pojawiły się w tabloidach?

- Moje zdjęcia? Niemożliwe.

- Owszem, możliwe. Powinieneś się ostrzec.

Luc bezwiednie przeczesał włosy. Ojciec uważał, że taka fryzura nie przystoi przyszłemu władcy. Gdyby nie mówił takim poważnym tonem, Luc by się roześmiał.

Westchnął cicho. Nawet po wyjeździe z kraju paparazzi nie chcieli zostawić go w spokoju. Był daleko od domu, a oni wciąż publikowali jego zdjęcia, by zwiększyć sprzedaż. Luc znienawidził dziennikarzy, gdy po śmierci Philippe'a w prasie zaroilo się od niewybrednych komentarzy i obrzydliwych spekulacji. Rodzina królewska pozostawiała tego typu publikacje bez komentarza, dlatego zatem tym razem król postąpił inaczej.

- To prawdopodobnie zdjęcia z regat. Nie ma się czym martwić.

- Wprost przeciwnie, synu. - Król mówił tonem, jakiego często używał podczas spotkań z radą królestwa i gdy ogłaszał rzeczy, które nie podlegały

dyskusji. - Te zdjęcia dowodzą, że postępujesz w sposób, który nie przystoi przyszłemu królowi. To musi ulec zmianie. Nie chcę, by Wielka Rada miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy nadajesz się na władcę naszego kraju.

Aha, czyli nic nowego. Prasa nieodmiennie poddawała w wątpliwość jego zdolność do objęcia tronu.

- Sir, zapewniam, że jestem bez winy. Całe dni spędzam, pracując z Carsonem na ranchu. Wiele się uczę. Z pewnością spożytkuję dobrze tę wiedzę dla dobra naszego kraju. Poza tym piszę regularne sprawozdania dla pałacu i ministerstwa turystyki.

Król nie musiał wiedzieć o Carly, ona nie miała z tą sprawą nic wspólnego.

Poczuł lekkie wyrzuty sumienia, bo przecież myślał o niej dniem i nocą, niemal nieustannie.

Zaledwie jeden pocałunek zupełnie odmienił jego życie.

Luc zapomniał, że Carly nie jest odpowiednią kandydatką na księżną, chociaż nigdy nie przywiązywał wagi do tego typu rzeczy.

Usłyszał, jak ojciec ciężko wzdycha, a potem mówi:

- W porządku, wierzę ci na słowo. Gdybym tylko wiedział, jak zatrzymać lawinę tych publikacji. Opinia publiczna jest wprowadzona w błąd, a to bardzo niebezpieczne.

Luc również zmartwił się całą sprawą. Część elity nadal winiła go za śmierć Philippe'a, choć nikt nie odważył się powiedzieć mu tego prosto w oczy. Jeżeli Luc z jakichkolwiek powodów zostanie uznany za niezdolnego do objęcia tronu, korona przypadnie innej linii rodu.

- Zeskanuj, proszę, te zdjęcia, i prześlij mejlem. Chcę zobaczyć, gdzie i kiedy były robione.

- Nie należy przejmować się dziennikarzami, dopóki kanclerz wie, że ich rewelacje są wyssane z palca. Takie rzeczy łatwo ustalić, kiedy jesteś w kraju, ale w Ameryce? Chyba nie muszę ci mówić, że Arturo jest nieco zaniepokojony.

Książę Broussard był bardzo inteligentnym człowiekiem, szczerze oddanym rodzinie królewskiej i lojalnym wobec rządów Montavii. Jednak Luc był nieco znużony wysłuchiowaniem subtelnych aluzji, że Philippe byłby lepszym królem. Niepotrzebnie mu o tym przypominano, bo sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego też nie śpieszył się z powrotem do domu.

Prawdę mówiąc, był jeszcze inny powód, dla którego nie chciał opuszczać Ameryki, czy raczej pewnej czarującej Amerykanki.

- Czy mam już wrócić do domu?

- Nie zwlekaj z tym zanadto.

- W porządku, wrócę, kiedy zechcesz, ale najpierw chciałbym zobaczyć te zdjęcia.

- Wiesz, że nie bardzo radzę sobie z komputerami. - W rzeczywistości umiał je tylko włączać i wyłączać. - Poproszę o pomoc kogoś zaufanego.

- Dziękuję, sir.

Potem rozmowa nabrała bardziej osobistego charakteru i dotyczyła spraw rodzinnych.

Luc nieco się rozluźnił i prawie zapomniał o tabletkach. Prawie.

Carly siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i oglądała dostarczone zdjęcia Jego Wysokości Luca. Musiała przyznać, że wyszły nadzwyczaj dobrze.

- Strzał w dziesiątkę - mruknęła.

Już rozumiała, dlaczego europejscy dziennikarze śledzili każdy krok Luca. Młody książę był niezwykle przystojny i fotogeniczny.

Układała zdjęcia na dwie kupki. Część fotografii wysłała księciu Broussardowi, a pozostałe zachowała w charakterze dowodów rzeczowych w aktach sprawy.

No nie, kogo ona chce oszukać! Po prostu bardzo chciała mieć te zdjęcia. W dodatku sterta przeznaczona dla księcia Broussarda gwałtownie malała.

Na przykład to zdjęcie zrobiła, gdy wybierali się na konną przejażdżkę. Gwizdała wtedy jakąś piosenkę, a Luc powiedział, że jest bardzo naturalna i zabawna. Niby nic specjalnego, a jednak poczuła się kimś wyjątkowym. Nie, nie mogła odesłać tego zdjęcia.

Napisała na odwrocie datę i odłożyła fotografię na stertę.

Przy następnym zdjęciu jej uśmiech zmienił się w grymas. Luc i idealna Pammie na biwaku. Bezczelnie z nim flirtowała, a on wydawał się z tego zadowolony. Carly poczuła nieprzyjemne ukłucie zazdrości.

Odłożyła fotografię na stertę przeznaczoną dla księcia Broussarda.

Wreszcie przysłała pora na zdjęcia, które zrobiła Tina. Przeglądając je, Carly zadrżała, wspominając chwile grozy. Luc walczący z płomieniami, Luc wynoszący Williego z płonącego wozu. Poślanie tych zdjęć księciu Broussardowi nie byłoby chyba najmądrzejszym posunięciem. Jeśli pałac odkryje, na jakie ryzyko naraził się Luc, zapewne zażąda jego natychmiastowego powrotu do Montavii lub przyśle na ranczo ochroniarzy. Luc na pewno by tego nie chciał.

Ona też nie.

Z pewnością znajdą się inne zdjęcia, które można będzie bezpiecznie przesłać kanclerzowi.

Przeglądała dalej, a pod koniec cicho jęknęła. Zdjęcia Luca zaścielały całe łóżko, tworząc swoistą opowieść: uśmiechnięty Luc, Luc przy ognisku, Luc na Zeusie. Nie chciała dzielić się z nikim tymi fotografiami. Były zbyt osobiste. Każda z nich przypominała o cudownej chwili spędzonej w towarzystwie księcia ze snów.

- Weź się w garść, Carly...

Książę ze snów to prawidłowe określenie. Mogła o nim tylko marzyć. Luc niedługo wróci do Montavii, a ona do

Dallas. Jeśli nie wywiąże się teraz ze zlecenia, zostanie bez pracy.

Dość rozmyślania o romantycznych chwilach spędzonych z cudownym księciem.

Zostanie jej trochę fotografii, kilka wspomnień, no i praca. Dlatego lepiej skoncentrować się na przyszłości, a nie na mrzonkach. Wykona to zlecenie bez względu na wszystko, nawet na własne uczucia.

Poza tym, gdy Luc już odkryje, jak bardzo jest podstępna, na pewno ją znienawidzi. Oszukała go, naruszyła jego prywatność, by ratować własną karierę.

Z ciężkim sercem wybrała pięć fotografii, które postanowiła sobie zatrzymać, a resztę przygotowała do wysłania. Otworzyła laptopa i uzupełniła notatki na temat Luca.

Przeczytała fragment tekstu dotyczący ostatniej nocy. To było równie egzaltowane jak pamiętnik nastolatki:

Jego złote włosy połyskiwały w słońcu. Otoczył mnie zmysłowy zapach wody kolońskiej, gdy Luc, jak prawdziwy dżentelmen, pomógł mi dosiąść konia. Kiedy mnie dotknął, zadrżałam z rozkoszy, moje serce zaśpiewało z radości, a jego uśmiech...

Carly jęknęła z rozpaczą. Odchyliła głowę i utkwiała wzrok w suficie. Jak to się stało, że jej służbowe notatki zaczęły przypominać ckliwy romans?

Wpadła po uszy.

Przystojny i inteligentny książę naruszył jej równowagę emocjonalną i zaczął zagrażać karierze. Nie wolno jej się zakochać, po prostu nie wolno.

Niestety stało się. Pechowa Carly straciła głowę dla księcia.

Wpakowała się w niezłą kabałę. Nawet jeśli Luc odwzajemnia jej uczucia, nic z tego nie będzie. Książęta żenią się z księżniczkami, prawda? Luc zapewne poślubi jakąś dobrze urodzoną blondynkę z Montavii, zgrabną i pełną gracji, której nigdy nie przydarzają się głupie wpadki.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, szybko zamknęła laptopa. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby ktokolwiek przeczytał jej żenujące notatki.

- Kto tam?

- Luc.

Na chwilę zabrakło jej tchu, zupełnie jakby skoczyła na głęboką wodę. Szybko upchnęła wszystkie zdjęcia pod poduszkę.

Luc. Ciekawe, czego chciał. Co za głupie pytanie, to przecież nieważne. Nie widziała go zaledwie kilka godzin, a już za nim tęskniła.

Ruszyła do drzwi, jednak na chwilę zatrzymała się przy ścianie i zaczęła bić głową w mur. Wymyślała sobie w duchu od idiotek.

Potem, próbując uciszyć rozszalałe serce, otworzyła drzwi i przybrała obojętną minę.

- Cześć - rzuciła.

Ledwie się uśmiechnął, jej puls znowu przyśpieszył, a spokój diabli wzięli.

- Słyszałem jakiś łoskot. Wszystko w porządku?

Nic nie jest w porządku, bo przecież zupełnie oszalała.

- Robiłam małe porządki w pokoju - odparła trochę sztywno. - O co chodzi? - spytała już spokojniej, chociaż przyszło jej to z dużym trudem.

- Może miałabyś ochotę popływać?

Luc zapewne był świetnym pływakiem i najpewniej wielokrotnie pokonał wpływ Kanał La Manche.

- Pokażesz mi kilka sztuczek? - spytała i natychmiast się zawstydziała.

- Jestem niezły w skokach do wody.

- Ja też.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie wyzwanie?

- Owszem. Po wczorajszej nocy kąpiel dobrze mi zrobi.

- Oczywiście. Nie chciałbym przeżywać czegoś podobnego jeszcze raz.

- Zachowałeś się jak bohater, uratowałeś Williego.

- Zrobiłem tylko to, co należało zrobić. - Wzruszył ramionami. - Na moim miejscu każdy postąpiłby tak samo.

A jednak tylko ty wykazałeś się takim hartem ducha, pomyślała.

Jednak teraz nie miała ochoty wspominać straszego pożaru. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak się składa, że dzisiaj kupiłam nowy kostium kąpielowy. Chętnie go wypróbuję.

- Tym bardziej musimy popływać.

- Wiesz co, wezmę aparat i zrobisz mi kilka zdjęć. Ja w bikini! Moja siostra chyba zemdleje z wrażenia.

Każdy prywatny detektyw ucieszyłby się, że oto nadarza się świetna okazja do zrobienia kilku zdjęć. Jednak Carly dręczyły wyrzuty sumienia. Oszukiwała mężczyznę, na którym tak bardzo jej zależało.

- Bikini? - Luc uniósł brwi. - Och, już nie mogę się doczekać.

A ja umieram ze strachu, pomyślała. Wstydziła się wystąpić w nowym kostiumie, w dodatku bała się, że nie zapanuje nad emocjami.

To wszystko stawało się zbyt skomplikowane. Uczucie do Luca przeszkadzało jej w pracy, a przecież tylko w tym była dobra. Nie pamiętała, kiedy ostatnio pływała jedynie dla przyjemności.

- No dobra. - Podała mu aparat. - Weź to i poczekaj na mnie przy basenie. Będę gotowa za dziesięć minut.

- Mówisz takim tonem, jakbyśmy planowali wielką akcję - stwierdził z uśmiechem. Wziął aparat i ruszył ku schodom.

Carly niemal zachichotała, bo Luc coraz częściej mówił z amerykańskim akcentem. Próbowwała się na niego nie gapić, ale to było ponad jej siły. Nie mogła oderwać oczu od księcia Montavii ubranego w obcisłe džinsy i kowbojską koszulę. Choć prawdę mówiąc, gapiłaby się na niego, nawet gdyby nie miał w sobie kropli błękitnej krwi.

Ku jej zawstydzeniu odwrócił się w pewnym momencie i pochwycił jej wzrok.

- Dziesięć minut, tak? - upewnił się jeszcze.

Była w stanie jedynie skinąć głową. Poczwała, jak na jej policzki wpełza rumieniec. Idiotka. Przecież nie stało się nic wielkiego. Owszem, gapiała się na niego, ale to żadna zbrodnia. Najwyżej sobie pomyśli, że jest nim zainteresowana.

No dobrze, była nim zainteresowana. Nie powinien się o tym dowiedzieć. Nie powinien się domyślić, że pragnęła czegoś więcej niż seksu.

Pięć minut później, obciążając nerwowo stanik, Carly szła w stronę basenu. Co ją podkusiło, żeby kupić takie skąpe bikini. Czwała się, jakby była naga.

To wszystko przez tę okropną Tinę i ekspedientkę z butiku. Wmówiły Carly, że wygląda w tym kostiumie pięknie i seksownie. Zastanawianie się nad swoim wyglądem było sprzeczne z jej naturą. Do tej pory czarowała mężczyzn wyłącznie intelektem. Kpiła okrutnie ze śmiałków, którzy próbowali umówić się z nią na randkę.

Tak było dotychczas. Dzisiaj czwała się seksowna i ładna.

Czekał na nią prawdziwy książę. Mężczyzna, który skradł jej serce. Co szkodzi zabawić się w Kopciuszka, przynajmniej dopóki nie wybije północ.

W drodze na basen Luc analizował ostatnią rozmowę z Carsonem Benedictem. Powiedział przyjacielowi, że wkrótce będzie musiał wrócić do Montavii. Ku zdziwieniu Luca Carson, zazwyczaj bardzo układny i zgodny, zaczął go namawiać na przedłużenie pobytu. Dowodził, że Lucowi przyda się dłuższy odpoczynek. Co więcej, to właśnie Carson zasugerował, że Luc i Carly powinni razem zrelaksować się w basenie.

Oczywiście Luc nie miał nic przeciwko temu.

- Próbujesz mnie wyswatać? - zapytał żartobliwie.

Spodziewał się, że Carson wybuchnie śmiechem, on jednak oznajmił sztywno:

- Towarzystwo ładnej kobiety pomoże ci odzyskać spokój ducha, zapomnieć na chwilę o wszystkich problemach.

Cóż, miał rację. Miniona doba obfitowała w stresujące sytuacje. Dobrze, że nikt z gości nie ucierpiał podczas pożaru.

No i był jeszcze pocałunek z Carly. Luc zdawał sobie sprawę, jak wiele się od niego oczekuje w Montavii, jak duża na nim ciąży odpowiedzialność, niestety coraz trudniej było mu podjąć decyzję co do swojej przyszłości.

Zarzucił ręcznik na ramię i obszedł wokół basen. Sprawdził stopą temperaturę wody, a potem usiadł na ławce, czekając na Carly.

Ta dziewczyna zupełnie go oczarowała. Była inteligentna, zabawna i czarująca. Bardzo ją polubił, tylko że... Zdegustowany potrząsnął głową. Za dużo tych wątpliwości i znaków zapytania. Należy spojrzeć prawdzie w oczy. Następca tronu musi być kochany i szanowany przez poddanych. Luc miał za sobą burzliwą młodość. Wiele osób poczytywało mu to za złe. Jeżeli znów wpakuje się w kłopoty, nie tylko zasmuci rodzinę, ale też będzie miał problemy z objęciem tronu.

To byłoby nie w porządku. Nieważne, jak bardzo podobała mu się Carly. Wszyscy oczekiwali, że pewnego dnia ożeni się z odpowiednią kobietą.

To mglista przyszłość, teraz powinien żyć chwilą.

Za drzwiami z pleksiglasu zamajaczyła wysoka kobieca sylwetka. Lukiem wstrząsnął przyjemny dreszcz.

Kiedy zobaczył ją w całej okazałości, aż znieruchomiał z wrażenia. Zareagował jak nastolatek, który po raz pierwszy widzi piękną kobietę.

Właściwie nie ma się czemu dziwić, bo przecież często fantazjował o jej cudownym ciele. Rzeczywistość okazała się jeszcze piękniejsza.

Tak jak podejrzewał, bezkształtne, o kilka numerów za duże ciuchy skrywały figurę modelki.

Luc ujął aparat, poszukał w obiektywie sylwetki Carly i pstryknął. Światło flesza trochę ją zaskoczyło.

- Hej, to nie fair! - naskoczyła na niego. - Nie rób mi zdjęć bez uprzedzenia. Teraz na przykład miałam zamknięte oczy.

Podeszła do niego krokiem modelki na wybiegu. Nie mógł się powstrzymać i znów zrobił zdjęcie.

- Masz bardzo ładny kostium. - Brawo, co za błyskotliwość, pomyślał w duchu. Naprawdę czuł się jak uczeń. Brakowało mu słów. Drżące dłonie pokrył pot.

Komplement nie zrobił na niej wrażenia, choć większość kobiet skwitowałyby jego uwagę przynajmniej zalotnym uśmiechem. Carly tylko trochę się przygarbiła, jakby próbowała stać się niewidzialna.

- Dziękuję - szepnęła.

A zatem jesteś nieśmiała, pomyślał. Kolejna urocza cecha jego Carly.

Jego Carly? Był najlepszą partią w swoim królestwie, a zauroczyła go niepewna siebie, bezpretensjonalna Amerykanka.

- Wyglądasz wspaniale. Przestań się garbić. - Odłożył aparat, podszedł do Carly i ujął ją za ramiona, by lepiej się jej przyjrzeć. Gdy zaczerwieniła się aż po korzonki włosów, roześmiał się i dodał: - Miło jest mieć rację.

- Co takiego? - Poczuła, jak na ramionach wyskakuje jej gęsia skórka.

- Wiedziałem, że w bikini będziesz wyglądać rewelacyjnie.

Carly wysunęła się z jego ramion i skrzyżowała ręce na biuście.

- Wczoraj nałykałeś się za dużo dymu i w głowie ci się mąci.

Ona naprawdę nie miała pojęcia, jak pięknie wygląda. Czy może być coś bardziej podniecającego? Zapragnął znów ją pocałować, przekonać się, czy jej usta smakują naprawdę tak słodko, jak zapamiętał.

Podszedł do niej pewnym siebie krokiem prawdziwego zdobywcy. Wiedział, jak sprawić, by kobieta dała mu, czego pragnie. Żadna jeszcze nigdy mu nie odmówiła.

Hm, ale czego właściwie chciał od Carly? Pocałunków? Na pewno tak. Czegoś więcej?

Ta ostatnia myśl powinna go otrzeźwić, ale zignorował ją. Pragnął całować tę kobietę, trzymać ją w ramionach i dotykać jej. Tylko tyle, nic więcej. Był mężczyzną, a ona była atrakcyjną kobietą.

Carly chyba czytała mu w myślach, bo podbiegła do basenu i wskoczyła do wody.

Luc patrzył na nią jak zauroczony. Po chwili, w uznaniu dla jej kunsztu pływackiego, zasalutował.

Wskoczył do wody, a gdy wypłynął na powierzchnię, odgarnął mokre włosy i spytał:

- Jaką notę byś mi dała za ten skok?
- Dziesiątkę, bo wychlapałeś połowę wody z basenu.
- Owszem, jestem w tym niezły, ale Philippe był jeszcze lepszy.

Rzeczywiście, to był jedyny sport, w którym Luc ustępował bratu. Rywalizowali w wielu dziedzinach, w końcu Philippe przyplącił to życiem.

Podpłynęli razem do drabinki i wyszli z wody. Carly co prawda często się potykała i coś przewracała, ale w wodzie poruszała się z dużym wdziękiem, tak jakby wreszcie była w swoim żywiole.

Odgarnęła mokre włosy i spojrzała na Luca z diabelskim błyskiem w oku.

- Chcesz się przekonać, kto z nas jest lepszy? Proszę bardzo.

Z wojowniczym okrzykiem podbiegła do basenu, skoczyła wysoko w górę, wykonała w powietrzu salto i zanurzyła się z pluskiem.

Luc roześmiał się głośno. Jaka szkoda, że nie zrobił jej zdjęcia.

- Jak było? - spytała, wynurzając się tuż przed nim.
- Jestem pod wrażeniem.
- No i dobrze. Nareszcie spotkałeś kogoś godnego siebie. - Zmieszała się niefortunnym doborem słów i szybko dodała: - To znaczy chodzi mi o skoki do wody.

- Właśnie tak to zrozumiałem - uspokoił ją. - A skoro lubisz rywalizować, to proponuję... - Wskazał basen, zachęcając Carly do wyścigu.

- W porządku, skoro chcesz.

Wykorzystując przewagę, pomknęła jak strzała w kierunku przeciwnego krańca basenu.

Luc świetnie się bawił po raz pierwszy od dłuższego czasu. Po śmierci Philippe'a stracił radość życia, ale teraz odzyskał ją dzięki Carly Carpenter.

Z rozmachem skoczył do wody, dopadł Carly i złapał ją od tyłu, gdy dopłynęła już do płytkiej wody.

Objął ją w talii i uniósł wysoko.

- Przegrałaś! - zawołał.

- Niezłe podnoszenie, zwłaszcza że nie należę do drobnych kobietek. - Położyła mu ręce na ramiona.

- Jesteś lekka jak piórko. - Opuścił ją powoli, trzymając w ciasnych objęciach.

Miał ciężki i urywany oddech, ale nie z powodu wysiłku.

Stała w wodzie sięgającej talii. Trzymała dłonie na ramionach Luca. Podobało mu się, że są niemal równi wzrostem i mogą sobie patrzeć prosto w oczy. W tej kobiecie podobało mu się wszystko.

Uniósł dłoń i delikatnie starł stróżkę wody z policzka Carly. Gdy otworzyła usta, jego palce owionął jej ciepły oddech. Patrzyła na Luca zdziwiona i trochę przestraszona.

Zalała go fala czułości. Nie chciał, by Carly go się bała.

- Carly - szepnął, a potem ją pocałował. Jej słodkie, wilgotne usta smakowały tak cudownie, jak to zapamiętał.

Przywarła do niego całym ciałem. Pragnęła, by ją pieścił i całował, bezwiednie głaskała go po plecach.

Carly, co ty wyprawiasz? Chyba zupełnie postradałaś rozum. On jest księciem, a ty... nikim.

Niechętnie oderwała się od jego ust.

- Jak na cudzoziemca, nieźle całujesz. Spojrzał na nią rozbawiony.

- Jak na Teksankę też nieźle całujesz. - Wyciągnął do niej rękę. - Chcesz spróbować jeszcze raz? Poznawanie obcych kultur znacznie rozszerza nasze horyzonty.

Odsunęła się od niego gwałtownie. Gdyby ją teraz pocałował, chyba nie zdołałaby ukryć, że jest w nim zakochana.

- Może później. Najpierw chciałabym zobaczyć twój popisowy skok.

- Już widziałas.

- Co takiego? To wszystko, na co cię stać?

- Może i nie. - Wdrapał się na trampolinę.

W tym czasie Carly znalazła ręcznik i usiadła na ławce, by podziwiać Luca. Doszła do wniosku, że jest piękny niczym Adonis.

Nie, nawet Adonis nie wyglądałby tak wspaniale.

Luc stanął na końcu trampoliny, odbił się dwa razy, a potem wystrzelił w powietrze. Wykonał salto z dwoma obrotami i wyprostowany jak strzała przeciął lustro wody.

Carly włożyła palce do ust i gwizdnęła przeraźliwie.

- I jak było? - zapytał, strząsając z włosów krople wody.

- Zupełnie nieźle.

- Jesteś pod wrażeniem?

- Owszem, ale nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Nie jesteś jedyny, który tak potrafi.

- Teraz twoja kolej. - Uśmiechnął się seksownie.

Nie musiał jej długo namawiać. Przez następne pół godziny popisywali się przed sobą, balansując na granicy ryzyka. Od czasu do czasu Carly męczyła natrętna myśl, że jeśli Luc odkryje, po co zrobiła tyle zdjęć, znienawidzi ją.

Nie warto się tym martwić. Dzisiejszy wieczór należał do niej. Dzisiaj nawet Luc należał do niej. Będzie się martwić jutro.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nie mam wyboru, muszę wrócić do Montavii.

Luc siedział w gabinecie Carsona Benedicta. Przytłoczony zmartwieniem zwiesił smętnie ramiona. Ojciec znów dzwonił i oznajmił, że sytuacja staje się coraz bardziej poważna. Ktoś próbował skompromitować następcę tronu, wysyłając do gazet mnóstwo zdjęć. Fotografie te miały świadczyć dobitnie, że Luc nie jest godzien królewskiej korony. Król Alexander i Wielka Rada byli poważnie zaniepokojeni.

Carson wsparł dłonie na blacie olbrzymiego mahoniowego biurka i w zamyśleniu bawił się długopisem.

- Komu mogłoby zależeć na odsunięciu cię od tronu?

- Nie mam pojęcia - odparł Luc zmęczonym tonem. - Muszę to ustalić.

Ojciec polecił zeskanować zdjęcia i przesłał mi wszystko mejlem. - Na pierwszym z nich Luc trzymał w ręku drinka. Na drugim stał obok kobiety, której twarz zamazano, by, jak to określiły tabloidy, chronić jej prywatność. Co za bezczelność, pomyślał z wściekłością. Nie miał pojęcia, kto to jest. - Może coś z tego wyniknie. Nasz kanclerz wszczął śledztwo w tej sprawie, niestety, szkody i tak są nieodwracalne. Powinienem jak najszybciej wrócić do domu i wszystko wyprostować. Moja nieobecność tylko podsycza spekulacje.

Carson zaczął nerwowo krążyć po pokoju, jak zwykle mocno zachmurzony. Ostatnio nieustannie był w ponurym nastroju i Luc zaczynał się o niego martwić.

Luc nie chciał stąd wyjeżdżać, nie chciał zostawiać Carly.

Carson chyba czytał w jego myślach, bo nagle zatrzymał się gwałtownie i spytał:

- A co z Carly?

- A co ma być? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Łączy was chyba coś więcej niż zwykła znajomość.

Wszyscy na ranchu zauważyli, że Luc i Carly spędzają z sobą dużo czasu.

- To wyjątkowa kobieta.

- To może zabierzesz ją z sobą?

Luc aż zamrugał ze zdziwienia. Czy jego zauroczenie Carly było aż tak widoczne?

Szczerze mówiąc, zamierzał ją poprosić, by pojechała z nim do Montavii, choćby po to, by się przekonać, jak rozwinie się ten związek i dokąd ich zaprowadzi. Nie, to byłoby wobec niej nie w porządku. Prasa w jego kraju porządkaby ją żywcem, a ojciec, zazwyczaj otwarty i liberalny, zacząłby się zastanawiać, czy Carly ma coś wspólnego z ostatnimi problemami Luca. Swoją drogą, co za głupi pomysł!

- Jak wiesz, ludzie w moim kraju oczekują, że będę się spotykać z dobrze urodzonymi kobietami.

Nagle uzmysłowił sobie, że Carly nawet nie wie, kim on naprawdę jest. Nie wiadomo, czy byłaby zainteresowana życiem, jakie przysłoby jej prowadzić u boku króla Montavii.

- Nigdy się tym zbytnio nie przejmowałeś. Gdzie się podział ten zbuntowany i niedbający o pozory książę, z którym przyjaźniłem się w Princeton?

- Zmienił się po śmierci brata - odparł Luc i zmęczonym gestem ukrył twarz w dłoniach.

Carson długo w milczeniu wyglądał przez okno, wreszcie powiedział cichym, zadumanym głosem:

- Czasami, dla dobra wszystkich zainteresowanych, człowiek musi robić rzeczy, których tak naprawdę nie chce.

- Wiedziałem, że ty mnie zrozumiesz. - Luc wstał z fotela. - Dziękuję. Oczywiście poinformuję cię o dacie mojego wyjazdu.

Carson obrócił się do niego plecami.

- W sobotę urządzamy potańcówkę - rzucił dziwnie desperackim tonem. - Zostaniesz tak długo, prawda? Zaprosisz Carly na ostatnią randkę.

To dziwne, że Carson nagle zaczął ingerować w jego prywatne życie. Pewnie leżało mu na sercu dobro przyjaciela. Prawdę mówiąc, Luc marzył, by spędzić w towarzystwie Carly jak najwięcej czasu.

- Prawdopodobnie wyjadę w poniedziałek rano.

- Świetnie. - Carson trochę się rozluźnił. - To daje nam dodatkowo trzy dni.

Luc wyciągnął do niego dłoń. Cenił sobie gościnność Carsona, który chciał spędzić z przyjacielem jak najwięcej czasu.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Ku jego zdziwieniu Carson sięgnął do szuflady biurka i wyjął kluczyki od samochodu.

- Cóż, właściwie mam do ciebie prośbę. W obozie zostało sporo narzędzi, naczyń i innych rzeczy. Mógłbyś je przywieźć? Weź dzipa. - Carson uśmiechnął się ze sztucznym ożywieniem. - Carly mogłaby pojechać z tobą. Obiecałem jej wycieczkę do Sky Bluff.

- Gdybym cię tak dobrze nie znał, pomyślałbym, że bawisz się w swata. - Luc z największym trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Znikaj, Jardine - mruknął Carson i wcisnął mu kluczyki. Zamykając drzwi, Luc doszedł do wniosku, że chętnie zastosowałby się do tego polecenia, i to w sensie dosłownym.

Otwarty dżip podskakiwał na nierównościach i kamieniach. Taka przejażdżka bardzo przypadła Carly do gustu.

Wiał gorący wiatr, na zachodzie znów grzmiało. Było późne popołudnie, słońce przybrało barwę dojrzałej pomarańczy.

- Jak myślisz, zdążymy przed deszczem?

- Trudno powiedzieć.

- Może powinniśmy byli założyć dach.

- Boisz się, że zmokniesz?

Oboje się uśmiechnęli, bo dobrze znali odpowiedź.

- Skądże, może być zabawnie. Kiedy byłam dzieckiem, lubiłam spacerować w deszczu.

- Nie ma to jak dobra przygoda. Uwielbiam takie zastrzyki adrenaliny.

Nie potrzebowała jeszcze więcej adrenaliny, wystarczyło jej towarzystwo Luca. Od wieczoru, który spędzili na basenie, trochę się między nimi zmieniło. To już nie była zwykła znajomość. Carly przestała walczyć z tym, co nieuniknione. Kochała Luca. Kochałaby go tak samo mocno, gdyby nie był księciem, tylko bezdomnym włóczęgą. Była przekonana, że taka miłość już się jej nigdy więcej nie przytrafi.

Niestety, jako osoba mocno stąpająca po ziemi, miała też świadomość tego, że lato z Lukiem wkrótce dobiegnie końca. Kiedy wróci do swojego świata, będzie wspominać każdą chwilę, którą z nim spędziła. Być może Luc już wtedy odkryje, jak bardzo go oszukała.

- Zbliżamy się do celu podróży. - Luc gwałtownie zahamował, wzbijając tumany pyłu.

- Prowadzisz, jakbyśmy jechali autostradą. - Zaśmiała się.

- Jazda autostradą to nuda. Co innego tutaj. Najważniejsze, że dotarliśmy cali i zdrowi.

- Zależy, co przez to rozumiesz - odparła, krztusząc się i kaszląc.

Gdy rozległ się kolejny grzmot, oboje spojrzeli na zachód.

- Lepiej się pośpieszmy. Chmury napływają szybciej, niż się spodziewałem.

- Co właściwie mamy stąd zabrać?

- Wszystko, co znajdziemy. Kiedy wybuchł pożar, nikt nie myślał o spakowaniu rzeczy.

Carly podeszła do miejsca po ognisku. To tutaj Luc pocałował ją po raz pierwszy.

- Spójrz. - Podniosła z ziemi na wpół opróżnioną paczkę cukierków piankowych. - Pamiętasz?

- Czy pamiętam? - Wrzucił do dzipa jakieś rzeczy i podszedł do Carly. - Miałaś wokół ust obwódkę z cukru. - Delikatnie dotknął jej warg. - A ja nie mogłem się powstrzymać i musiałem cię pocałować. Jesteś taka słodka - szepnął po chwili. Poczula na twarzy pierwsze krople deszczu. Luc scałował je, a potem powiedział z westchnieniem: - Naprawdę musimy się pośpieszyć.

Nieco oszołomiona Carly zaczęła ładować do dzipa wszystko, co znalazła. Gdy skończyli, deszcz rozpadał się na dobre.

Luc znalazł dużą plastikową płachtę, a także swój kapelusz. Nałożył go Carly na głowę i włączył silnik.

Deszcz cały czas przybierał na sile.

- Ale ulewa! - krzyknął Luc. - Czy tu zawsze tak pada?

- W Oklahomie często zdarza się oberwanie chmury! - odkrzyknęła Carly, mocno przytrzymując kapelusz. - Ale takie ulewy nie trwają zbyt długo.

- A tak bardzo chciałem ci pokazać Sky Bluff.

- No to co cię powstrzymuje? To tylko mały deszczyk. Słyszac to, Luc skrzywił się zabawnie i oznajmił:

- Jest pani niezwykłą kobietą, panno Carpenter. - Zawrócił samochód. - No to w drogę.

Jechali w deszczu i porywistym wietrze, śmiejąc się za każdym razem, gdy koła dżipa natrafiały na dziurę, czemu towarzyszyły fontanny błota. Po sekundzie, skapani w strugach deszczu, znów byli czysti.

Wkrótce ziemia wokół nich pokryła się wartkimi strumieniami. Przy wjeździe do lasu Luc zwolnił.

Dżip ślizgał się na boki, koła buksowały.

- Ta ścieżka jest dobra dla koni, ale...

Gdy dżip wpadł w kolejny poślizg, Luc zacisnął mocno usta. Carly trzymała się kurczowo fotela. Samochód przechylił się na lewą stronę i stanął.

- A niech to - mruknęła Carly.

Luc wysiadł, by sprawdzić, co się stało.

- Utknęliśmy - powiedział zmartwiony po powrocie.

- Na to wygląda.

Drzewa dawały schronienie przed deszczem, ale oboje i tak już przemokli do suchej nitki. Zresztą ulewa powoli ustawała.

- Przepraszam. Jesteś zła? - spytał Luc.

- Niby dlaczego? - zdziwiła się. - Przecież to był mój pomysł. To ja powinnam cię przeprosić.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny. Naraziłem cię na taką przykrą sytuację.

- Przestań. - Strząsnęła wodę z włosów. - Wyluzuj. Jestem dorosła i sama za siebie odpowiadam. Przestań się zachowywać jak feudalny książę odpowiedzialny za swoich poddanych. No dobra, utknęliśmy, ale nie jesteśmy przecież na pustyni.

Spojrzał na nią dziwnie, a ona przeklęła swoją bezmyślność. Że też szybciej mówi niż myśli!

- Dobrze, że mamy komórkę. - Wziął telefon z tylnego siedzenia, a potem nagle zaczął się śmiać.

Carly mu zawtórowała, chociaż nie miała pojęcia, o co chodzi. Po prostu ucieszyła się, że Luc wreszcie trochę się rozluźnił.

- A właściwie co cię tak rozśmieszyło?

- Nie działa.

- Jak to?

- Nie działa. - Przejechał palcem po gardle i wzruszył ramionami. - Nie ma zasięgu. - Oboje znów zaczęli się śmiać. Kiedy się wreszcie uspokoił, Luc powiedział: - Większość kobiet, które znam, nie uznałoby tej sytuacji za zabawną.

- Co teraz? Wracamy na piechotę na rancho? - Carly westchnęła. Nie musiał jej przypominać, że tak bardzo różniła się od kobiet z jego świata.

- Za późno. Nie dojdziemy na rancho, zanim się zrobi ciemno. Tu aż roi się od węży, dlatego nie polecam nocnych spacerów.

- To co proponujesz? Szkołę przetrwania?

- Masz lepszy pomysł?

- Nie. - Czy może być coś piękniejszego niż nocleg pod gołym niebem z Lukiem u boku? Tylko oni dwoje. - Mamy plastikową płachtę, więc będzie nam dość ciepło i sucho. No i nie zginiemy z głodu, bo zostało jeszcze trochę cukierków piankowych.

- I czegoż więcej trzeba? - Był trochę zdziwiony, że humor wciąż jej dopisuje. Gdzie podziała się dziewczyna z miasta, która jeszcze dwa dni temu z obawą myślała o biwaku?

Zaczęli przeglądać rzeczy zabrane z obozowiska. Luc umocował plastikową płachtę między drzewami tak, że powstało coś w rodzaju namiotu. Potem starannie wygarnął spod daszku wszystkie mokre liście.

Już kilkakrotnie Carly miała ochotę mu powiedzieć, że jak na księcia jest bardzo zaradny. Oczywiście nie zająknęła się na ten temat, bo musiałaby wtedy wyznać mu prawdę. Jednak teraz jej kariera, pochodzenie Luca i wszystkie problemy były odległe i nader mgliste.

Wczołgała się pod daszek i ze zdumieniem stwierdziła, że Lucowi udało się urządzić zupełnie przytulne gniazdko.

- Nie znalazłeś wśród tych rzeczy żadnych ubrań, prawda? - Jej mokre džinsy i koszula ważyły chyba tonę.

Otworzył jedną z toreb i po chwili wyjął kurtkę wojskową i bojówki.

- Ktoś się chyba wybierał na polowanie.

- Mamy szczęście. - Ukłękła obok niego. - Co tam jeszcze jest?

- Peleryna przeciwdeszczowa, apteczka, bateria i... - Uśmiechnął się, wyciągając skąpy stanik

- Nie, za to dziękuję - odparła. - Ja wezmę pelerynę, a ty przebierz się w spodnie i kurtkę.

- Ty weź spodnie i kurtkę, bo jesteś zupełnie przemoczona.

- Nie ma mowy. - Ostatecznie był przyszłym królem. Jeśli spędzi noc w mokrych ubraniach, na pewno się przeziębii. Nie mogła do tego dopuścić.

- Pójdziemy na kompromis - zaproponował. - Ty weźmiesz kurtkę, a ja spodnie. - Nie czekając na dalsze dyskusje, Luc podał jej kurtkę i wyszedł na zewnątrz. - Zawołaj mnie, kiedy się przebierzesz.

Carly z ulgą ściągnęła mokre i sztywne džinsy oraz koszulę, a potem włożyła kurtkę. Chociaż miała gołe nogi, nie czuła się skrępowana.

- No dobra, możesz już wejść. Trochę śmiesznie w tym wyglądam.

- Pozwól, że ja to ocenię. - Przez chwilę patrzył na nią z jawnym podziwem. - Masz bardzo zgrabne nogi.

Przytrzymując poły kurtki, wzniosła oczy do nieba i wzruszyła ramionami.

- Jeśli chodzi o moje nogi, to godna podziwu jest jedynie gęsia skórka, która właśnie na nich wyskoczyła. A teraz przestań się na mnie gapić i wyskakuj z tych mokrych ciuchów, bo się przeziębisz. Odwrócę się.

Znajdowali się na małej przestrzeni, oboje niemal nadzy, nic zatem dziwnego, że Carly poczuła się nieco nieswojo. Gdy usłyszała dźwięk rozpinanego suwaka, podskoczyła jak oparzona.

O matko, czy ona do reszty zwariowała?

Luc chrząknął, prawdopodobnie próbując ukryć zmieszanie.

- Już.

Kiedy się odwróciła, jej oczom ukazał się dość komiczny widok. Spodnie chyba należały do o wiele niższego i grubszego mężczyzny, bo sięgały księciu zaledwie do kostek. By nie opadły, musiał przytrzymywać je w pasie.

Komizm rozładował wyczuwalne jeszcze przed chwilą napięcie. Carly zachichotała.

- Hm, przydałby ci się jakiś pasek.

- Poszukam sznurka.

- Żadnego tu nie widzę. - Rozejrzała się. - Wiesz co? Odetnij troczek od plecaka, włóż w szlufki z przodu i zawiąż.

- Dobrze to wymyśliłaś.

Nie szczędził jej drobnych komplementów, dzięki czemu czuła się wyjątkowa. Czy postępował tak ze wszystkimi kobietami?

Podczas gdy Luc wiązał spodnie, Carly okryła się kocem.

Gdy po chwili Luc usiadł obok niej, Carly na chwilę wstrzymała oddech. Tak bardzo pragnęła dotknąć jego nagiej skóry, ale jeszcze bardziej pragnęła powiedzieć mu, że go kocha. Tymczasem pocałowała go tylko leciutko w usta i wyjrzała na zewnątrz.

Ulewa zamieniła się w mżawkę, powietrze było rześkie, zieleń soczysta. Do chóru żab wkrótce dołączyły ptaki. Sceneria jak z bajki, pomyślała Carly.

- Zmarzniesz pod jednym kocem. - Luc przysunął się do niej. Nie czekając na odpowiedź Carly, zarzucił jej na ramiona swój koc i przyciągnął do siebie. - Spójrz - szepnął. - Jaka piękna tęcza.

- Tak, wspaniała - odparła równie cicho.

- Nie, to ty jesteś wspaniała. - Musnął wargami jej szyję.

Carly niemal mu uwierzyła. Luc sprawiał, że rzeczywiście czuła się seksownie i kobieco. W dodatku w jego towarzystwie przytrafiało się jej o wiele mniej wpadek niż zazwyczaj.

- Mówiłam o tęczy.

- Ach tak. - Spojrzał w górę. - Chcesz po niej wędrować i odnaleźć garnek złota?

Carly uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Nawet gdyby miała całe złoto tego świata, nie mogłaby kupić tego, czego naprawdę pragnęła.

- Nie dbam o pieniądze.

- Nie? To czego pragniesz? Ciebie. Na zawsze, pomyślała. Pocałowała go czule.

Natychmiast odwzajemnił pieśczętę. Potem siedzieli przytuleni, patrząc na znikającą tęczę i zachodzące słońce.

- Kiedy byłem mały, uwielbiałem noclegi pod gołym niebem - wyznał Luc.

- Sam czy z rodziną? - Nie mogła wyobrazić sobie członków rodu królewskiego śpiących w śpiworach, ale przecież Luc obalił wiele z jej opinii.

- Zazwyczaj z bratem i naszymi... służącymi. Wiedziała, że miał na myśli ochroniarzy.

- Byliście z bratem bardzo zżyci. Jego śmierć musiała być dla ciebie wielką tragedią.

- Niektórzy i mnie życzyli śmierci - odparł rozgoryczony.

- Luc, co ty opowiadasz?

Wyglądał na bardzo wzburzonego. Przez chwilę zapatrzył się na otaczające ich drzewa, a potem spytał:

- Czy mogę ci coś powiedzieć? Coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłem.

- Możesz powiedzieć mi wszystko. - Czuła, jak jej puls przyśpieszył. Czy Luc wreszcie wyzna jej, kim jest?

- Wiem, i jestem ci za to bardzo wdzięczny. - Westchnął i przyciągnął ją bliżej, opierając brodę na jej głowie. Przez chwile milczał, a Carly czekała w napięciu, wstrzymując oddech. Jeśli wyzna jej, kim jest, czy będzie to znaczyło, że traktuje ich znajomość poważnie? Czy zaufanie jest tożsame z miłością? - W dniu, w którym umarł mój brat...

- Przerwał gwałtownie.

Carly pogładziła go delikatnie po nagiej klatce piersiowej. Wiedziała, jak trudno jest mu rozmawiać o tragedii, która złamała mu serce.

- Co się stało?

- Pojechaliśmy na narty i naprawdę świetnie się bawiliśmy. Philippe włożył do mojej kurtki termos z gorącą czekoladą, a potem ze śmiechem odjechał, krzycząc, że nigdy go nie dogonię. Często z sobą rywalizowaliśmy. - Uśmiechnął się smutno. - Nie, nieprawda, to ja uwielbiałem rywalizację. To ja go nieustannie prowokowałem.

- Obwiniasz się o jego śmierć - szepnęła w nagłym błysku zrozumienia.

Luc mówił dalej, jakby jej nie usłyszał.

- Mknęliśmy na dół z zawrotną szybkością, z dala od trasy zjazdowej.

Philippe po raz pierwszy w życiu był szybszy niż ja. - Luc na chwilę przymknął oczy. - Nadal widzę jego narty szusujące po śnieżnym puchu, słyszę jego triumfalny śmiech. A potem zniknął mi z oczu. Otoczyła mnie martwa cisza.

- Och, Luc... - Carly objęła go mocno w pasie. Słyszała, jak mocno bije mu serce.

- Najechał na występ skalny. Pomknąłem do niego jak szalony. Doznałem kontuzji i złamałem kostkę. Ale było za późno. Leżał pod nienaturalnym kątem na skałach.

- Skąd nadeszła pomoc? Ratownicy zaczęli was szukać?

- Ja ściągnąłem pomoc. - Spojrzał na nią zdziwiony, jakby zadała wyjątkowo głupie pytanie.

- Ze złamaną kostką?

- Carly, mój brat był martwy. - Z jego głosu biła spokojna rezygnacja, akceptacja dla faktów, których nie można zmienić.

- To nie była twoja wina.

- Nie powinienem zgadzać się na ten wyścig. Philippe był gorszym narciarzem niż ja. To ja nieustannie zmuszałem go do rywalizacji, która zupełnie nie leżała w jego naturze. A przecież zawsze broniłem go przed tymi, którzy próbowali wykorzystać jego łagodność. Lecz tym razem zachowałem się jak oni.

Dlaczego Luc nie uświadamiał sobie, że to on był tym silniejszym? To on był przywódcę.

- Kochałeś go, chroniłeś i wspierałeś. Jego śmierć była tragicznym wypadkiem, za który nikt nie ponosi winy.

Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały smutne.

- Przez jakiś czas brukowce spekulowały o tym, że specjalnie zainscenizowałem ten wypadek, by przejąć sukcesję do tronu.

- Boże, co za obrzydliwość.

- Tak, ale to media w dużej mierze kształtują opinię publiczną.

- Pewnego dnia, ludzie poznają prawdę. Zobaczą, jakim jesteś człowiekiem.

- Jesteś dla mnie taka dobra. - Pocałował ją.

Ten czuły pocałunek niemal złamał jej serce. Tak bardzo go kochała. Tylko prawdziwi idioci mogli sądzić, że Luc byłby zdolny do jakiejś podłości.

Całował ją coraz żarliwiej. Wyczuła, że bardzo jej pragnie. Może jej nie kochał, ale na pewno nie była mu obojętna.

Kiedy położył ją na śpiworze, nie protestowała. Nawet jeśli mógł jej dać tylko tę jedną noc, przyjmie ten dar z wdzięcznością.

- Luc - szepnęła.

- Tak?

Wokół nich las rozbrzmiewał dźwiękami nocy. Blask księżyca wydobywał z mroku twarz Luca. Carly dotknęła jego ust i zebrała się na odwagę, by wyznać:

- Muszę ci coś powiedzieć, zanim...

- Co takiego?

- Kocham cię - szepnęła.

- Wiem - odszepnął. - Jestem tym w równym stopniu zachwycony, co przerażony.

Nie spodziewała się, że Luc zareaguje wybuchem radości, ale dlaczego był taki smutny?

- O co chodzi?

- Carly, moje życie jest bardzo skomplikowane, a nie wszystko mogę ci powiedzieć. - Poglądził ją po twarzy, a potem odsunął się i położył na plecach. - Nie chcę cię zranić.

Gdyby usłyszała te słowa od kogoś innego, uznałaby, że właśnie dostała kosza. Jednak z Lukiem sprawa miała się inaczej. Ciężka na nim ogromna odpowiedzialność. Miał do spełnienia ważną misję. Carly nie pasowała do jego świata i nigdy nie potrafiłaby się w nim odnaleźć.

- Dobrze wiem, czego chcę. Nie zranisz mnie. - Owszem, zranisz moje serce, ale chyba jakoś to przeżyję.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, chociaż nie wszystko, co bym chciał - dodał nerwowo.

Kolejne dylematy przyszłego władcy?

Przysunęła się do Luca, próbując coś wyczytać z jego twarzy.

- No dobrze, mów.

Długo milczał, tak jakby szukał właściwych słów, a to musiało oznaczać, że miał jej do przekazania złą wiadomość. Poczwała, jak zamiera jej serce.

- Wkrótce muszę wyjechać, o wiele szybciej, niż planowałem.

Carly zamknęła oczy, porażona nagłym bólem. A więc tak to się wszystko skończy. Jedna wspólna noc albo nic. Musiała podjąć decyzję.

- Dlaczego? Czy coś się stało? - Chciała mieć pewność, że wzywają go naprawdę ważne sprawy.

- Tak. - Uniósł się na łokciu i spojrzał jej prosto w oczy.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła łagodnie.

- Moja rodzina prowadzi szczególny biznes, nieco delikatnej natury.

Wszyscy, a zwłaszcza szefowie, muszą być ludźmi powszechnie szanowanymi.

W przeciwnym wypadku nasza praca narażona jest na niepowodzenie. Śmierć Philippe'a spowodowała, że dużo osób przestało mi ufać.

Powierzył jej bolesną tajemnicę, ale nadal nie wyznał całej prawdy.

Krążył wokół tematu, ukrywając swą tożsamość. Carly poczuła rozczarowanie.

- Chyba nie bardzo rozumiem.

- Pojawiły się pogłoski, że nie nadają się na szefa.

- Ale dlaczego? - Usiadła gwałtownie. - Przecież nie zrobiłeś nic złego, mogę o tym zaświadczyć.

Popchnął ją leciutko, a gdy opadła na plecy, odgarnął włosy z jej twarzy.

- Ktoś w moim kraju rozsiewa plotki, że wyjechałem z Montavii, bo jestem skrajnie nieodpowiedzialny i nie zasługuję na... - Urwał gwałtownie.

- Na przejęcie schedy po ojcu - dokończyła, chcąc wybawić go z kłopotu.

- Właśnie.

- Nie rozumiem, dlaczego kilka drobnych i nieistotnych zdarzeń jest traktowanych z taką powagą.

- Ojciec przesłał mi parę fotografii, które zostały ostatnio opublikowane w tabloidach. Pokazują mnie w nader niekorzystnym świetle, w dość kompromitujących sytuacjach. Z niekompletnie ubraną kobietą. Pijanego.

- To jakieś szaleństwo. Skoro nic takiego nie zrobiłeś, skąd są te zdjęcia?

- Na pewno zostały zrobione niedawno. Jestem jednak pewien, że ktoś bawi się w fotomontaż.

- To aktualne zdjęcia? Jak to możliwe? - Ledwie o to zapytała, prawda uderzyła ją jak obuchem. Sygnały ostrzegawcze przybrały na sile. Dlaczego odczuwała niepokój, gdy księżę Broussard zapewniał ją, że chodzi mu tylko o dobro i bezpieczeństwo Luca? Niemal zeszywniała z przerażenia. Czy to wszystko jej wina? Czy to jej zdjęciami posłużył się podstępny kanclerz, chcąc skompromitować następcę tronu? - A niech to... - mruknęła. Zastanawiała się gorączkowo, jakie szkody mogła jeszcze wyrządzić. Czy była tylko marionetką, którą królewski dostojnik wykorzystał do zbierania informacji? Jej sprawozdania, odpowiednio przetworzone, mogły ukazać Luca w bardzo niekorzystnym świetle. - Och Luc, tak mi przykro. - Ujęła jego twarz.

Odkryje prawdę, a jeśli będzie trzeba, powstrzyma kanclerza Broussarda. Nie dopuści, by ktoś pozbawił Luca tronu. - Godnie zastąpisz swego ojca. Nie pozwól, by jakiś zazdrosny i wredny facet... - Szybko ugryzła się w język. - Nie pozwól sobie wmówić, że będziesz złym szefem.

- Ktoś gra nieczysto, a ja muszę go powstrzymać. - Pocałował jej skroń. - Mam prawo i obowiązek dbać o przyszłość naszej firmy. Otworzyłaś mi oczy na wiele spraw, których przedtem nie rozumiałem. Będę ci za to wdzięczny do końca życia.

Nie będzie, ale nie mogła mu powiedzieć, dlaczego. Zresztą nic wielkiego nie zrobiła. Po prostu uświadomiła Lucowi, że będzie wspaniałym królem. Był silnym i odważnym mężczyzną.

Wkrótce Luc zapewne odkryje, jak bardzo go zdradziła. Uzna jej wyznanie miłości za kłamstwo, za zwykłą manipulację. A wtedy ją znienawidzi.

- Powinniśmy się przespać - szepnęła drżącymi wargami. Odwróciła się do niego plecami i zaczęła cicho szlochać.

Luc długo leżał w ciemności, nasłuchując delikatnego oddechu Carly. Podczas rozmowy z nią uzmysłowił sobie dwie ważne rzeczy.

Nigdy nie będzie taki jak ojciec czy Philippe, jednak kocha swój kraj i zrobi dla niego wszystko. Najlepiej uczci pamięć brata, zostając dobrym władcą. Zrozumiał to dzięki Carly. Uwierzył jej, gdy zapewniała go, że nikt nie ponosi winy za śmierć Philippe'a.

Tak wiele zawdzięczał tej pięknej i mądrej kobiecie. Całym sercem pragnął wyznać jej prawdę, zabrać Carly do Montavii i przedstawić ją rodzinie.

Nie, to zraniłoby ją bardziej niż rozstanie. Była silną, ale przy tym bardzo wrażliwą kobietą. Nie zniosłaby ataków brukowej prasy i ludzi ze śmietanki towarzyskiej.

Montavia była konserwatywnym krajem. Wszyscy oczekiwali, że następca tronu poślubi miejscową arystokratkę i spłodzi z nią mnóstwo potomków. Nie mógł narażać Carly na niewybredne i okrutne ataki otoczenia.

W dodatku nigdy nie wyznał jej, kim naprawdę jest.

Zbyt długo myślał wyłącznie o sobie, nie dbając o dobro Carly i własnego kraju. Pora wrócić do domu i stawić czoło obowiązkom.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Carly szalała.

Natychmiast po powrocie do pokoju na ranczu przystąpiła do działania.

Ostatnia noc była cudowna, ale też trochę straszna. Kochała Luca i chętnie zostałyby w ich bezpiecznej kryjówce do końca świata. Niestety wraz z nastaniem poranka trzeba było wrócić do rzeczywistości. Komórka już działała i ledwie Luc z Carly załadowali dżipa, przyjechał po nich dziwnie ożywiony i zadowolony Carson Benedict.

Carly zacisnęła dłoń w pięść. Przeszukując internet, upewniła się, że książkę Broussard bezczelnie ją wykorzystał. Wszystkie informacje pojawiające się w prasie Montavii pochodziły z jednego źródła - od niej.

Jak mogła być taka głupia?

Marzyła o prysznicu i śniadaniu, ale to musiało na razie poczekać. Jej nieostrożność wyrządziła już dość szkód. Teraz liczyła się każda minuta.

Nawet gdyby to miało być ostatnie śledztwo w jej życiu, ujawni wszystkie grzechy podstępного kanclerza. Co się stało, to się nie odstanie, ale może przynajmniej zdoła powstrzymać kampanię przeciwko Lucowi.

Podniosła słuchawkę i zamówiła rozmowę międzynarodową. Minutę później oznajmiła Broussardowi, że rezygnuje ze zlecenia, bo Luc opuścił ranczo i udał się w niewiadomym kierunku. Kanclerz nieco się zdenerwował i namawiał Carly, by ponownie spróbowała wytropić księcia. Stanowczo odmówiła. Nie chciała mieć nic wspólnego z intrygantem, który spiskował przeciwko Lucowi.

Po tej rozmowie odczuła ulgę. Potem przejrzała wszystkie zdjęcia i notatki. Wybrała te najlepsze i włożyła do koperty. Król Alexander powinien zapoznać się z oryginałami, a także jej raportami. Modląc się, by jej plan wypalił, zadzwoniła jeszcze w kilka innych miejsc.

Kiedy późnym popołudniem Luc zapukał do jej drzwi, Carly właśnie dopinała swój plan na ostatni guzik. Słyszając głos Luca, szybko nakryła notatki szlafrokiem i podeszła do drzwi.

Luc spojrział na nią zdziwiony, bo nawet się nie przebrała. Była tak rozczochrana, jakby dopiero wstała z łóżka.

- Świetnie wyglądasz - rzekł z uśmiechem.

Bzdura. Musiała wyglądać jak straszidło. On oczywiście prezentował się jak zwykle nienagannie. Zdołał jakoś ujarzmić zazwyczaj niepokorne włosy.

- No cóż, wyznaczam nowe trendy w modzie. - Spojrzała na swoje bose stopy i wzruszyła ramionami.

- Myślałem, że zejdziemy razem na obiad.

Chętnie przyjęłaby jego zaproszenie, zwłaszcza że umierała z głodu, ale nie po tym, co mu zrobiła.

- Wiesz, chyba daruję sobie obiad, bo jestem potwornie zmęczona.

- W takim razie przyniosę coś z dołu i zjemy tutaj razem, dobrze?

Potrząsnęła głową. Niech on już stąd idzie, modliła się w duchu. Jeszcze chwila, a padnę na kolana i wyznam mu, co zrobiłam. Potrzebuję czasu, by wszystko naprawić.

- Dzięki, raczej nie.

- Czy coś się stało? - spytał rozczarowany.

- Niedługo wyjeżdżasz - odparła łagodnie. - Powoli muszę się oswoić z tym faktem - tłumaczyła. I była to prawda, chociaż nie cała.

- Jesteś wyjątkową kobietą. - Poglądził ją po twarzy. Wyjątkową? Jasne. Takie co i rusz zakochują się w niewłaściwych mężczyznach.

- Nie martw się, wszystko w porządku. - A teraz odejdz, błagała go w myślach. Zrobię wszystko, by naprawić krzywdę, którą ci wyrządziłam. -

Przepraszam, ale... - Zaczęła zamykać drzwi.

- Dziś wieczór jest potańcówka. Przyjdiesz?

- Oczywiście - odparła, by go uspokoić.

Zgodziłaby się na wszystko, byle tylko już poszedł. Najchętniej padłaby na łóżko i zalała się łzami, ale miała jeszcze sporo do zrobienia. Musiała pojechać do miasta i skontaktować się z człowiekiem z firmy kurierskiej i z królem Alexandrem.

Ubrana w starą sukienkę, wyciągnięta wygodnie na fotelu, Carly z maską z glinki na twarzy daremnie próbowała się choć trochę zrelaksować. Klęcząca na podłodze Tina Osborne malowała jej paznokcie u stóp.

- Nie wiem, czemu się na to zgodziłam. Co mnie napadło?

Tina, ubrana w dresy z odważnym napisem „Ugryź mnie”, odparła:

- Potem pomaluję ci paznokcie u rąk i wyreguluję brwi.

- Nie! - Carly aż się wzdrygnęła.

- Siedź spokojnie. Właśnie nałożyłam lakier, który nazywa się „Zabójcza Wiśnia”.

Początkowo Carly nie zamierzała iść na potańcówkę. Chciała najpierw zdemaskować księcia Broussarda, jednak Luc już w poniedziałek opuszczał ranczo. Wkrótce po Lucu pojawiła się Teddi Benedict, która też namawiała ją na wieczorną imprezę. W dodatku przyniosła śliczną sukienkę, i wreszcie Carly uległa.

- Nadal nie bardzo rozumiem, dlaczego Benedictowie uważają, że są mi coś winni. - Teddi oznajmiła, że sukienka jest prezentem, który ma wynagrodzić Carly wszystkie niedogodności, jakich doznała na ranczu.

- Przestań marudzić. Chciałabym dostać taki prezent. Gdybym miała jakiś seksowny ciuszek, Dirk zupełnie straciłby głowę.

- I tak stracił.

- Wiem. - Tina zachichotała. - Jest we mnie beznadziejnie zakochany.

Carly bardzo zazdrościła jej tej niezachwianej pewności siebie.

- Kiedy wreszcie zmyję to paskudztwo...

Nie zdążyła skończyć, bo rozległ się dzwonek telefonu.

- Nie ruszaj się, ja odbiorę - zaproponowała Tina.

I tak jestem unieruchomiona, pomyślała Carly. Waciki między palcami stóp i sztywna skorupa na twarzy.

- Słucham? - mruknęła niewyraźnie do słuchawki.

- Carly, to ty?

- Eric? - Tylko nie to, pomyślała w popłochu.

- Miałem ostatnio kilka dziwnych telefonów. Trochę trwało, nim zrozumiałem, co jest grane. Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn, których wolałbym nie znać, podawałaś się za właścicielkę mojej agencji.

Hm, nie tyle miłe powitanie, co lodowaty prysznic.

- Pozwól mi wyjaśnić - poprosiła Carly spokojnie, a Tina udawała, że w ogóle nie podsłuchuje.

- Wyjaśnić? To ja jestem detektywem. - Był bardzo wzburzony i Carly wiedziała, że za chwile przestanie się kontrolować. - Nie potrzebuję żadnych cholernych wyjaśnień! Wyobraź sobie, że pewien wysoko postawiony facet z Montavii złożył skargę na twoją niekompetencję. Chce nas zaskarżyć do sądu. - Próbowała mu przerwać, wyjaśnić, że księżę Broussard mści się, bo odmówiła udziału w jego brudnej grze, ale Eric nie dał jej dojść do słowa. - Gdybyś nie była moja szwagierką, kazałbym cię aresztować. Mogę przynajmniej z całą satysfakcją obwieścić, że jesteś zwolniona. Tym razem nawet Meg ci nie pomoże. Jesteś skończona, Carly. Na dobre. Zapomnij o karierze prywatnego detektywa, wybij też sobie z głowy dziennikarstwo.

Carly pociły się dłonie, mimo to zdołała powiedzieć zaskakująco spokojnym tonem:

- Wiesz co, Eric? Guzik mnie to obchodzi. Broussard to zdrajca, który próbuje skompromitować własnego władcę.

Muszę skończyć to śledztwo, by go powstrzymać. Nie obchodzi mnie, że przez to stracę pracę. Trudno. Nie zniosłabym myśli, że zraniłam osobę, którą kocham. A ty?

- Zwalniam cię. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Chciała mu tak wiele wytłumaczyć, ale przerwał połączenie. Carly podała słuchawkę Tinie.

- Coś mi się wydaje, że ta rozmowa nie należała do przyjemnych. - Tina ponownie odkręciła lakier.

Carly spojrzała na swoje pomalowane paznokcie. Wyglądały naprawdę dobrze. O dziwo, ona też miała się nie najgorzej, chociaż właśnie przed chwilą straciła pracę. Karierę diabli wzięli, siostra chyba ją zabije, a mimo to Carly czuła się cudownie wolna.

Nieważne, że już nigdy nie udowodni swych zawodowych zdolności, a jej zasoby finansowe stopnieją niczym wiosenny śnieg. Liczy się tylko to, że zrobi coś dobrego dla Luca. Owszem, najpierw trochę narozrabiała, ale jeśli jej plan wypali, Broussard już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Zalała ją fala dość irracjonalnej ulgi. Wyciągnęła rękę w kierunku Tyny i powiedziała:

- Kontynuuj, proszę. A potem przynieś pęsetę.

Luc stał przed dużym lustrem, poprawiając węzeł krawatu. Dzisiaj miał spędzić ostatnią noc z Carly i był podekscytowany jak uczeń przed pierwszą randką. Cały dzień starannie go unikała i chociaż rozumiał jej powody, bardzo za nią tęsknił. Brakowało mu jej śmiechu, ciepła, bezpośredniości.

Poprawił kołnierzyk i jeszcze raz spojrzał na swe odbicie w lustrze.

- Katastrofa - mruknął.

Jego przyszłość jawiła się w czarnych barwach, a on mógł myśleć tylko o Carly. Jak miał pożegnać się z kobietą, której tak wiele zawdzięczał? To dzięki niej zrozumiał, jak bardzo kocha swój kraj i pragnie zostać władcą. To dzięki niej wreszcie uwierzył, że niesłusznie obwiniał się o śmierć brata.

I która też, a potrzebował odwagi, by to przyznać, zawładnęła jego sercem.

Taka kobieta zasługiwała na coś więcej niż pożegnalny taniec.

Od kilku dni zastanawiał się, czy zaprosić Carly do Montavii. Oczywiście nie teraz, tylko trochę później, gdy skandal wygaśnie, a jego wrogowie umilkną.

Czy zgodziłaby się z nim pojechać? Może będzie zbyt zła i rozgoryczona, bo ukrył przed nią swą tożsamość.

Od śmierci Philippe'a sam borykał się z problemami, jednak teraz marzył o rozmowie z ojcem, który na pewno mógłby mu udzielić kilku mądrych rad.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Ojciec odezwał się już po pierwszym sygnale.

- Luc, właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Kolejne problemy? - spytał zaniepokojony.

- Wciąż te same, synu, tylko że coraz bardziej uciążliwe. Nalegam, byś natychmiast wrócił do domu.

- Mam bilet na poniedziałek.

- To za późno. Muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać. Wysyłam po ciebie samolot. Arturo tak bardzo dba o twoje interesy, że wynajął prywatnego detektywa. Trudno w to uwierzyć, ale to właśnie od niego pochodzą te zdjęcia i raporty, przez które wpakowałeś się w kłopoty.

Luc opadł ciężko na krzesło. Prywatny detektyw? Tutaj?

- Zapewniam, sir, że nie wpakowałem się w żadne kłopoty. Będzie je miał ten, kto mnie oczernia - powiedział ze złością. - Co konkretnie jest w tych raportach?

- Podobno jesteś chorobliwie lekkomyślny i nieodpowiedzialny i nadajesz się do leczenia. W Zurichu jest świetna klinika.

- Chcą mnie zamknąć w domu wariatów? O co tutaj chodzi? Te raporty to stek bzdur.

- Synu, chciałbym ci wierzyć, ale z jakiego powodu prywatny detektyw miałby fałszować raporty?

- Nie mam pojęcia, ale na pewno się dowiem. Czy możesz mi podać nazwisko tego detektywa? Chętnie sobie z nim porozmawiam.

Rozległ się szelest papieru, a potem król Alexander powiedział:

- To agencja detektywistyczna z Dallas, a detektyw nazywa się Carly Carpenter.

Kiedy Luc wszedł na balkon, Carly id razu wyczuła, że coś jest nie w porządku. Stojąc obok Teddi Benedict, która nieustannie komplementowała jej strój i makijaż, Carly z niepokojem obserwowała ściągniętą twarz Luca. Przechodził od gościa do gościa, kłaniając się sztywno, ale ani razu się nie uśmiechnął.

Gdy już przywitał się ze wszystkimi damami i kowbojami, podszedł prosto do Carly. Kelner natychmiast zaproponował im drinka, ale Luc pokręcił głową, nie odrywając wzroku od twarzy Carly. On już wie, pomyślała w popłochu.

Miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie, jednak stała nieruchomo, próbując uciszyć rozszalałe serce.

- Zatańcz ze mną - polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Ujął ją za rękę i niemal pociągnął na parkiet. Dotykał jej tak, jakby trzymał w ręku jadowitą żmiję.

- Czy coś się stało? - spytała, patrząc na jego zaciśnięte usta.

- To ty znasz odpowiedź na to pytanie.

- Przepraszam - szepnęła. - Chciałam ci powiedzieć dziś wieczorem, ale najpierw...

- Co takiego, Carly? Najpierw chciałaś odebrać swoje honorarium? Zniszczyć moją reputację? Nawet mój ojciec uwierzył w twoje kłamstwa.

- W moich raportach była tylko prawda. To księżę Broussard...

- Jak daleko posunęłaś się w tej maskaradzie? - Przyciągnął ją do siebie gwałtownie. - Zrobiłaś zdjęcie, jak się całujemy, i sprzedałaś brukowcom?

Zaszokowana tą sugestią, próbowała wysunąć się z jego ramion. Nie była słabą kobietką, ale Luc trzymał ją jak w imadle. Krążyła wraz z nim po parkiecie niczym posłuszna marionetka.

- Przyjęłam to zlecenie, zanim cię poznałam... zanim się w tobie zakochałam. - Powstrzymała napływające do oczu łzy.

Tak bardzo chciała, żeby Luc ją zrozumiał. Na chwilę wyraz jego twarzy złagodniał. Zimna furia nieco ustąpiła, jej miejsce zajął ból.

- Carly - szepnął Luc, gładząc ją po policzku. Chyba zawstydził się tego bezwiednego gestu, bo szybko cofnął rękę. Ukłonił się sztywno i odszedł.

Najchętniej upadłaby przed nim na kolana i błagała o przebaczenie.

Takie działanie nie miałoby oczywiście żadnego sensu. Dobrze wiedziała, że nie należy do świata Luca. Był księciem i przyszłym królem. Porzuciłby ją, nawet gdyby go tak strasznie nie oszukała.

Twarz paliła ją żywym ogniem. Skronie pulsowały od powstrzymywanych łez.

Przez króciutką chwilę pechowa Carly czuła się piękna, jednak zegar wybił dwunastą i bajka dobiegła końca.

Luc oparł się o poręcz werandy i odetchnął głęboko. Ostatnio cierpiał tak bardzo na pogrzebie Philippe'a. Powinien być rozgoryczony i zły, tymczasem zadreślał się myślą, że kobieta, którą pokochał... Jęknął w duchu. Cholera, on ją naprawdę kochał.

Usłyszał czyjeś kroki i szybko wziął się w garść.

- Wszystko w porządku? - spytał Carson.

- Nic nie jest w porządku. - Uśmiechnął się krzywo.

Z zewnątrz dobiegały żywe dźwięki kowbojskiego tańca. Luc zastanawiał się, czy Carly szaleje teraz z którymś z kowboi na parkiecie. Wyglądała dziś wieczór przepięknie. Wciąż czuł na marynarce zapach jej perfum.

- Chcesz o tym pogadać?

Na ciemnym niebie pojawiło się światełko odrzutowca. Obserwując je, Luc przypomniał sobie, jak Carly skarżyła się, że w mieście prawie nie widać gwiazd, ale w Montavii mogłaby na nie patrzeć do woli.

- Leci tu królewski odrzutowiec. Rano zabierają mnie do domu.

- Czy właśnie o tym rozmawiałeś z Carly?

- Nie.

- To dlaczego ona płacze?

- Płacze? Na pewno? - Luc gwałtownie uniósł głowę.

- Nienawidzę kobiecych łez. Co ty jej zrobiłeś? Złamałeś serce?

- Ona złamała moje. - A potem, ponieważ bezgranicznie ufał Carsonowi, wszystko mu opowiedział.

- Zaraz, czy ja dobrze rozumiem? Carly nie powiedziała ci, że jest prywatnym detektywem. Ty natomiast ukryłeś przed nią swoją tożsamość.

- Ona dobrze wiedziała, kim jestem.

- Nieważne. Była wobec ciebie równie nieszczerą jak ty wobec niej.

- Tak, ale ja miałem ważne powody. - Czyżby? Pokochał ją, a jednak nie wyznał jej prawdy. To nie było w porządku.

Rytmiczną muzykę zagłuszył nagle odgłos silnika. Na podjeździe pojawił się samochód.

- Hm, chyba mamy nowego gościa - powiedział Carson niechętnym tonem, który najlepiej odzwierciedlał jego stosunek do hotelowego biznesu.

Najnowszy model sportowego samochodu zatrzymał się kilkanaście metrów przed werandą, oświetlając reflektorami Carsona i Luca. Kierowca wyłączył silnik i otworzył drzwi.

Wysoka długonoga blondynka wysiadła z wdziękiem z auta i ruszyła wprost ku werandzie.

Miała klasę, była elegancka i piękna, w pełni świadoma swej urody.

- Szukam mojej siostry Carly Carpenter.

- Wspaniała Meg. - Luc zorientował się, że powiedział to na głos, dopiero gdy Meg spojrzała na niego ostro.

- Pan zapewne zna moją siostrę.

- Owszem.

- Jestem Meg Wright. - Wyciągnęła do niego wypielegnowaną dłoń. -
Gdzie znajdę Carly?

- Wright? - Luc zacisnął szczęki. - Czy to pani jest właścicielką agencji, w której pracuje Carly?

- Pracowała do dzisiaj. Przyjechałam, żeby zobaczyć, jak się czuje.

- Pracowała? Co pani chce przez to powiedzieć?

- Nie wiem, z kim mam przyjemność. - Spojrzała na niego zimno. -

Proszę powiedzieć mi, gdzie znajdę siostrę.

- Ten pan to Carson Benedict, właściciel rancza. A ja nazywam się Luc Gardner i jestem przyjacielem Carly.

Meg obrzucił go spojrzeniem, które zmroziłoby cały piasek Sahary.

- Aha, tajemniczy książę. A więc to przez pana moja młodsza siostra wpadła w tarapaty.

- Wprost przeciwnie. To przez pani siostrę wybuchł skandal w moim kraju. Wokół mojej osoby...

- Szanowny książę. - Wyciągnęła palec wskazujący. - Coś panu powiem. Ja też jestem niezłym detektywem i szybko odkryłam, co tu się dzieje. Carly ustaliła, że jeden z ministrów Montavii, niejaki Broussard, fałszował jej raporty i nieco poprawiał jej zdjęcia. Rozsyłał te materiały do prasy, by pana skompromitować. Kiedy Carly zerwała z nim współpracę, wpadł we wściekłość i zagroził jej procesem, a mój mąż, który jest właścicielem agencji, natychmiast ją zwolnił.

Luc patrzył na nią zaszokowany. Czy Arturo naprawdę był aż taki podły?

- Carly straciła pracę?

- Tak, bo próbowała pana chronić. Jest ambitna, ale kieruje się sumieniem. Postanowiła odkryć, dlaczego kanclerz tak bardzo chce panu zaszkodzić. Przeprowadziła to śledztwo na własną rękę i zapłaciła za nie z własnej kieszeni. Książę Broussard obiecał jej co prawda duże honorarium, ale nie zapłacił złamanego grosza.

Nagle wszystko stało się jasne jak słońce. To dlatego Arturo nieustannie podważał wszystkie decyzje Luca i osłabiał jego pewność siebie. To dlatego odchodził od zmysłów z wściekłości, kiedy Luc wymknął się spod jego kontroli. To dlatego utrzymywał, że następca tronu powinien zostać zamknięty w szpitalu psychiatrycznym. Nie miał pojęcia, dlaczego kanclerz tak bardzo go nienawidzi, ale na pewno uda mu się to ustalić.

- Och, Carly - szepnął. I pomyśleć, że oboje byli ofiarami intryg Artura.

Carson poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- Powinieneś z nią pogadać - poradził. - Wyznaj jej wszystko, zanim wyjedziesz.

- Oczywiście. - Słodka, urocza Carly. Zrobiła to wszystko dla niego, a nie dla zysku. - Czy mógłbym z nią porozmawiać jako pierwszy? - spytał Meg. - Powiem jej, że pani przyjechała.

Meg przez chwilę obserwowała go z takim wyrazem twarzy, jakby był ciekawym okazem zoologicznym.

- Moja biedna siostra jest w panu zakochana, prawda? No cóż...

- Mam nadzieję - odparł uradowany, bo te słowa były najśłodszą muzyką dla jego duszy.

- No dobrze, szanowny książę. - Meg zaszczyliła go namiastką uśmiechu.

- Daję panu piętnaście minut i ani sekundy dłużej.

Światła lamp z trudem rozjaśniały mrok panujący w ogrodzie. Carly usiadła na ławeczce, głośno szlochając. Gdy biegła tu z sali balowej, zgubiła jeden but. Nieważne, przynajmniej dostała nauczkę, że kupno seksownych

szpilek to w jej przypadku czysta strata pieniędzy. Pewnych rzeczy nie można kupić za żadne pieniądze.

Uniosła dłonie i niecierpliwym gestem starła z oczu resztki makijażu.

To wszystko jej wina. Jak mogła być tak głupia, żeby zakochać się w księciu?

- Carly.

O Boże, w dodatku ma jeszcze omamy słuchowe.

- Carly, *mi amore*.

- Luc? - Pociągnęła nosem i wyprostowała się odruchowo. Co on tutaj robi?

Usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Przemówił do niej łagodnym, czułym głosem.

- Jestem ci winien przeprosiny.

- Nie. - Potrząsnęła głową, niszcząc resztki misternej fryzury. - Oszukałam cię.

- Tak, ale ja zrobiłem to samo.

- Ty miałeś powód. Musiałeś ukrywać swą tożsamość, bo marzyłeś o spokojnych wakacjach. Nie miałam pojęcia, że podejmując się tego śledztwa, wyrządę ci krzywdę. Uwierz mi, proszę.

- Przyjechała twoja siostra.

- Meg jest tutaj? O rany, chyba mnie zabije.

- Nic podobnego. Jeżeli w ogóle kogoś zabije, to raczej mnie. -

Uśmiechnął się lekko. - Powiedziała mi, co zrobiłaś. Poświęciłaś dla mnie swoją karierę zawodową.

- Luc, książe Broussard zrobi wszystko, aby cię skompromitować. Muszę się dowiedzieć, dlaczego. Może już nigdy nie będę pracować jako prywatny detektyw, ale powstrzymam tego człowieka. Twój kraj cię potrzebuje.

- Wiem to, zresztą dzięki tobie. Zapewniam cię, że z twoją pomocą oczyszczę moje imię, przejmę schedę po ojcu i zostanę królem.

- Z moja pomocą? Angażujesz mnie do pracy? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie, Carly.

Jej serce na chwilę zamarło, a łzy ponownie zalały oczy.

- W takim razie polecam ci usługi mojego szwagra. Jest wspaniałym...

- Ciii... - Położył palec na jej ustach. - Nie rozmawiajmy więcej o pracy i o naszych błędach. Nie mówmy już o kanclerzu i królestwie Montavii. - Spojrzał na nią tak, że w jej sercu zapaliła się iskierka nadziei. - Carly, kochanie, byłem okropnym egoistą, a dzisiaj wieczorem byłem bliski popełnienia największej pomyłki w moim życiu.

Carly wciąż nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła w oczach Luca i usłyszała w jego głosie.

Delikatnie uniósł jej dłoń i czule ucałował wszystkie palce. Carly znów się rozplakała, tym razem ze szczęścia.

- Niemal pozwoliłem odejść wspaniałej kobiecie. Kocham cię, Carly. Chcę, byś pojechała ze mną do Montavii i została moją królową.

- Zaraz, chwileczkę. - Odsunęła się od niego, nagle przestraszona. Spojrzała na niebo Oklahomy. - Pechowa Carly miałyby zostać królową? Ja królową? Hm, chyba królową pechowców.

- Nie kochasz mnie? Kłamałaś, wyznając mi miłość?

- Nie! - krzyknęła i spojrzała na niego ostro. - Kocham cię z całego serca, ale właśnie dlatego nie mogę zostać twoją królową. - Twoi poddani nigdy mnie nie zaakceptują w tej roli.

- Co takiego? - Objął ją, a ona z ulgą oparła głowę o jego szeroką klatkę piersiową. - Jeśli cię nie zaakceptują, to będzie oznaczać, że są skończonymi idiotami. Nie warto władać królestwem głupców. Przecież jesteś piękna i mądra, pełna nieskończonej dobroci i wdzięku. Wszystko mnie w tobie zachwyca. Wszystko.

Pociągnęła nosem. Jego woda kolońska chyba uderzyła jej do głowy, bo powoli zaczynała mu wierzyć.

- Nawet kiedy cię depczę w tańcu?

- Zwłaszcza wtedy. Dziś wieczorem, kiedy się z tobą rozstałem, zrozumiałem, że nie potrafię dłużej bez ciebie żyć. Mężczyzna, a zwłaszcza król, potrzebuje u swego boku silnej kobiety. Ty jesteś silna, Carly, bez ciebie sobie nie poradzę.

- Ale co powie na to twoja rodzina?

- Kocham rodzinę i mój kraj, ale oni też muszą mnie zaakceptować takim, jakim jestem. Różnię się od Philippe'a, który był zgodny i układowy. Wyznaję nowocześniejsze poglądy niż mój ojciec. Obywatele Montavii mają swój rozum i pokochają cię równie mocno jak ja.

Carly usiłowała spojrzeć na siebie oczami Luca. To, co zobaczyła, wprawiło ją w zdumienie i radosne oszołomienie. Tak bardzo się zmieniła. Odwzajemniona miłość do Luca dodała jej pewności siebie. Może i nigdy nie dorówna swojej siostrze, ale to ją Luc pokochał całym sercem.

- Wiesz co? Zmęczyło mnie to całe gadanie. Może byś mnie wreszcie pocałował?

- Nie, dopóki nie zgodzisz się zostać moją żoną - odparł z uśmiechem.

- Tak, tak, tak - szepnęła mu prosto w usta.

Przygarnął ją do siebie i stał gorącymi pocałunkami uśmiech z jej warg. Całował jej usta, policzki, oczy, szeptał czule słówka po francusku, włosku i angielsku.

Trochę później oparł czoło o jej czoło, nie wypuszczając jej z objęć. Krew Carly pulsowała żywiej, współgrając z odgłosami nocy. Z sali balowej dobiegała muzyka. Wokalista zaczął śpiewać:

Chcę tańczyć z tobą do końca życia...

Luc przez chwilę nasłuchiwał, a potem powiedział:

- To chyba będzie nasza piosenka. Zatańczymy?

Chętnie by się zgodziła, byle tylko dłużej trzymał ją w ramionach, ale był jeden mały problem.

- Nie mogę. Zgubiłam but. - Wyciągnęła przed siebie bosą stopę.

- Czy to ten? - sięgnął za siebie i po chwili na jego dłoni pojawił się elegancki pantofelek.

- Gdzie go znalazłeś?

Jej książkę opadł na kolana i delikatnie wsunął na bosą stopę pantofelek.

- Mogę prosić? - spytał z uśmiechem.

Porwał ją w ramiona i zaczęli tańczyć pod złotym księżycem Oklahomy.

Carly wiedziała, że poradzi sobie jako królowa i że zawsze będzie wiernie stać u boku swego mężczyzny.

EPILOG

Carson Benedict krążył niespokojnie po olbrzymim holu pałacu, w którym odbywało się wesele Jego Wysokości Księcia Luciana Marcusa Alexandra Jardine'a i księżniczki Carly. Gdyby nie przyjaźnił się tak bardzo z Lukiem, nigdy nie wsiadłby do samolotu, a tym bardziej nie pozwoliłby się ubrać w ten głupi garnitur. Prawdę mówiąc, był tu również dlatego, że przyłożył rękę do tego małżeństwa. Teddi w eleganckiej zielonej sukni chodziła za nim krok w krok i szczebiotała.

- Piękna z nich para, prawda? Kto by pomyślał, że Carly będzie wyglądała tak dystygowanie.

- Tak. - Rzeczywiście, w niczym nie przypominała kobiety w borych i za dużych ciuchach, którą kiedyś była. - Wszyscy od razu ją polubili, można powiedzieć, że jedzą jej z ręki.

- Widziałeś dzisiejszą gazetę?

Oczywiście. Wraz ze śniadaniem dostarczono do ich pokoju kilka dzienników. Na pierwszych stronach widniały zdjęcia księżniczki Carly. Rozpisywano się o uroczej Amerykance, która jest ujmująco szczerą i dowcipną. Szybko zdobyła sobie powszechne uznanie. Doskonaliła francuski, uczyła się historii Montavii i zapoznawała z jej kulturą.

Przede wszystkim jednak udowodniła, że Luc w niczym nie zawinił. Kiedy dziennikarze odkryli, że Luc ukrywał się w Ameryce, gdzie poznał swoją ukochaną, wpadli w zachwyt. Ostatecznie romantyczne historie sprzedają się o wiele lepiej niż skandale.

- Ciężko pracowała, bo chciała, by Luc był z niej dumny - powiedział Carson.

- Wiem. Cieszę się, że udaremniła intrygę księcia Broussarda, który sam chciał sięgnąć po królewską koronę. Gdyby nie śledztwo Carly, mogło mu się udać. - Teddi wzdrygnęła się teatralnie.

Carson rozejrzał się po tłumie otaczających ich gości. Gdzieś tam była rodzina Carly i nieznośna Tina Osborne.

- Szybciej. - Teddi pociągnęła go za rękę. - Już idą! Popchnęła go w stronę olbrzymich drzwi. Podskakiwała jak gumowa piłeczka, machając do księcia i księżniczki. Carson wznosił oczy do nieba. Już składał nowożeńcom życzenia i pożegnał ich przed podróżą poślubną, ale gdyby tu nie przyszedł, Teddi nie dałaby mu spokoju.

Panna młoda, ubrana w długą białą suknię, z wdziękiem kroczyła do karety. Luc, ubrany w mundur wojskowy, przytrzymał ją za łokieć. Gdy patrzył na żonę, z jego oczu biły miłość i duma.

Kareta, przyozdobiona białymi wstążkami i zaprzężona w szóstkę karych koni w złoto-srebrnej uprzęży, miała lada chwila odjechać. Nowożeńcy przystanęli i po raz ostatni pomachali wiwatującym gościom. Potem Luc wziął żonę w ramiona i pocałował. Chciał, by cały świat widział, jak bardzo się kochają.

Po chwili roześmiana Carly rzuciła bukiet w tłum. Przynajmniej tuzin kobiet wyciągnęło ręce, ale olbrzymia wiązanka z różowych róż wylądowała prosto w ramionach Teddi.

Gdy zaskoczona dziewczyna pisnęła i pomachała do Carly, wśród tłumu rozległy się życzliwe śmiechy.

- Carson - szepnęła Teddi, przyciskając bukiet do piersi - czy wiesz, co to oznacza?

- Hm, że teraz twoja kolej.

- Nie, głuptasie. - Spojrzała na niego z przyganą. - To oznacza, że teraz na ranchu Benedictów zapanuje idealna harmonia między pracą a miłością.

- Wygrałem zakład. Wszystko zostaje, jak jest.

- Braciszku, nic nie musimy zmieniać. Dziś rano rozmawiałam z Macy. Powiedziała, że telefony wprost się urywają. Nasze rancho wkrótce stanie się bardzo modne, bo wszyscy już wiedzą, że to u nas prawdziwy księżę zakochał się w pani detektyw. Zjadą się single z całego kraju, a może nawet z zagranicy, pragnący odnaleźć miłość. - Wskazała ręką królewską karete. - Będzie tak, jak mówię, Carson. Wspomnisz moje słowa.

Jeszcze kilka dni wcześniej Carson zareagowałby na tę paplaninę gniewem lub zniecierpliwieniem, teraz jednak nie miał na co narzekać. Interes szedł coraz lepiej, a jego przyjaciel odnalazł prawdziwe szczęście.

- No to chyba oboje wygraliśmy zakład, co? - spytał.

- Na to wygląda. - Uderzyła go bukietem. - Mów sobie, co chcesz, Carson, ale miłość przynosi więcej dobrego niż złego.

Gdy królewska kareta zwolna potoczyła się ulicą, Luc wychylił się i spojrzał prosto na Carsona. Uniósł kciuk i wyszeptał podziękowania. Potem odwrócił się do żony i zaczął ją całować.

Nawet taki cynik jak Carson musiał się uśmiechnąć.

W sumie Teddi miała rację. Miłość to naprawdę wspaniała sprawa.